Numer 24. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 10 Czerwca 1928



KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Przysłowia Afganów.

Dzięki podróżom swego władcy Afganistan stał się modny w Europie. Wśród opisów kraju i mieszkańców znajdujemy wiązankę ciekawych przysłów:

„Największa tajemnica prawdziwego szczęścia, to umieć się obejść bez niego".



Hojny.

Szef do pracowników:

— Panowie w przyszłym miesiącu obchodzić będziemy stulecie naszej firmy, założonej przez mojego dziadka. Cieszcie się, panowie, gdyż wszyscy z was, którzy służą u nas od samego początku założenia firmy, otrzymają pięcioletnią pensję, jako nadzwyczajną gratyfikację.



Podsłuchane.

— Wie pan, ja tak sobie myślę, że Litwa, aczkolwiek chrześcijańska, zawsze jednak zachowała pewne cechy pogaństwa.

— Mianowicie?

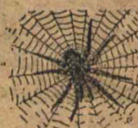
— No, pomyśl pan. Dawniej Litwini czcili bożka Perkuna, a teraz wierzą z bałwana — Waldemarasa...

„Nigdy nie wahaj się w wyborze pomiędzy żoną a przyjacielem, przyjaciela jednego bowiem masz na świecie, a kobiet znajdziesz tyle, ile chcesz".



Najdroższe kapelusze widzi się zawsze na najtańszych głowach.

Stroje damskie zaczęły się od listka figowego i skończą się na... listku figowym.



Myśli.

Kawaler, który sądzi, iż małżeństwo to cicha przystań, niech pogada z jakim żonatym facetem, zanim zawitą do tej przystani.



Rady przedślubne.

— Pamiętaj, Zosiu, że mąż i żona to jedna istota.

— To dziwne, proszę mamy, bo jak mama bywa sam na sam z papą, to nie tylko że nie tworzycie jednej istoty, ale z drugiego pokoju zdaje się wszystkim, że to... Sejm w dniu otwarcia.

Numer 24. XI. Rok Kraków, dnia 10 Czerwca 1928.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Boże Ciało.

Kościół katolicki obchodzi dnia 7 czerwca b. r. pamiątkę ustanowienia Przenajświętszego Sakramentu Ołtarza, czyli uroczystość Ciała Pańskiego. Święto to obchodzono najpierw w Wielki Czwartek, dzień Wieczerzy Pańskiej, w którym to dniu Kościół udzielał jawnogrzesznikom odpuszczenia grzechów i przyjmował ich ponownie na łono Kościoła. Ustanowił je papież Urban IV. Stało się to z następujących powodów:

W mieście Leodjum żyła pobożna zakonnica, imieniem Juljanna wraz z przyjaciółkami Ewą i Izabelą. Zakonnica te miewała w czasie modlitwy widzenie, w którem się jej ukazywał księżyc, którego krawędź była cokolwiek przyćmiona. Wskutek jej błagań dał jej Bóg do zrozumienia, że Kościołowi brak jednej z najważniejszych uroczystości tj. obchodu ustanowienia świętego Sakramentu Ołtarza.

W roku 1246 zwierzyła się z tem objawieniem biskupowi leodyńskiemu, Robertowi, który zbadawszy rzecz i zasięgnąwszy rad kilku uczonych i znakomitych teologów, przedsięwziął zaprowadzić tę uroczystość w swej djecezji. Tymczasem śmierć go zaskoczyła.

Po zgonie jego spełnił zmarłego wolę kardynał-legat, Hugon, który w roku 1247 rzeczywiście odprawić kazał procesję w kościele św. Marcina w Leodjum. Kilku biskupów poszło za jego przykładem. W ten sposób zaprowadzono tę uroczystość w kilku djecezjach, aż nareszcie w roku 1264 papież Urban IV rozporządził, aby święto to odtąd obchodzono w obrębie całego Kościoła. Rozporządzenie to zatwierdził papież Klemens V na soborze w Wiennie w roku 1311 i naznaczył na ten obchód czwartek po oktawie Świątecznej, poczem Jan XXII nakazał w roku 1317, aby przy tej sposobności odprawiano procesje publiczne.

Może niejedenby się spytał, jaki cel mają owe procesje? Otóż bywają one na to, abyśmy złożyli jawne świadectwo żywej wiary, że Pan Jezus jest prawdziwie, rzeczywiście i istotnie obecny w tym świętym Sakramencie. Dalej, aby przeprosić Pana Jezusa za zniewagi zelżywości i szyderstwa wyrządzone Mu przez ludzi bezbożnych i pozbawionych wiary. Aby Synowi Bożemu okazać powinną cześć i uwielbienie. Aby podziękować Mu za ustanowienie tego Sakramentu i spływające stąd na nas łaski i dobrodziejstwa. Wreszcie, aby Go prosić o błogosławieństwo dla naszej Ojczyzny i jej mieszkańców.

Sam papież Urban IV takie podaje przyczyny ustanowienia tego święta w dekrecie przez siebie ogłoszonym: Trojaką przeto była przyczyna ustanowienia takiego święta: 1. Wzniosłość tajemnicy Bożej. 2. Potrzeba zawstydzenia innowierców, przeczących prawdzie tego artykułu wiary. 3. Wola, którą Bóg objawił kilku pobożnym osobom.

Intencjom papieża Urbana IV stało się zadość i po dziś dzień cały świat katolicki obchodzi to święto nadzwyczaj uroczyście. W Boże Ciało wznoszą przy krzyżach przydrożnych lub na ulicach cztery prowizoryczne ołtarze, a przy każdym z nich kapłan odczytuje Ewangelje, poczem udziela wiernym błogosławieństwa Przenajświętszym Sakramentem. Panuje też zwyczaj święcenia w dniu tym wianków, uwitych z rozmaitych ziół. Wianki te mają chronić pola od gradobicia. Można je widzieć porozwieszane niemal na każdym domu przez rok cały.

Uroczystość Bożego Ciała trwa niejako przez ośm dni, gdyż przez ośm dni odbywają się rano i po południu procesje, w których biorą bardzo liczny udział wierni wszystkich stanów. Procesje te uświetniają małe dziewczątka, które poubierane w białe sukienki czynią złudzenie aniołków otaczających Przenajświętszy Sakrament niesiony przez kapłana.

Wu. Wu.

Zamurowane serce.

Obrazek z niedalekiej przeszłości.

Zeszli się w umówionej liczbie i na oznaczony czas. Było ich czterech — najpoważniejsze chłopy z parafji: Witek z Bystrego, Jędrzej Łysy, Szymon Mróz i Piotr Pokrzywa. Stanęli przed rozłożystą lipą i, wpatrując się w krwawiący płomyk wiecznej lampki, wyzierający przez zaczernione nocą okno kościoła, zadumali się nad sprawą, którą chcieli jeszcze tej nocy dokonać. Niemiłe milczenie zaczęło ich przejmować lękiem, gdy równocześnie poczuł jeden i drugi jakieś więzy, skuwające ich dotychczasowy zapał, uwieńczony przed kilku godzinami wyraźnem postanowieniem.

Owo postanowienie zaczęło na jeden moment chwiać.

— Trza by się niby... tego... zabierać do roboty. Godzina będzie jedenasta, wszystko śpi, jakby zabił — zauważył Szymon.

Nikt nie odpowiadał. Zupełne milczenie zalegało dziedziniec kościelny; nawet wyniosłe drzewa zgubiły nagle swój rytmiczny dech, rozsypując niemiłosierną głuchotę, nasiąkniętą nienaturalnym szeptem okrutnej pustki.

— Ale... bo to wiecie, tak jakoś... — zaczął się plątać Pokrzywa.

— Dość medytacji! — krzyknął prawie głosem Witek z Bystrego. — Przyszliśmy tu chyba nie na stanie — czas ucieka. Chodźcie za mną! Który tam ma świece i zapałki? Zaczekajcieno!... Chłopy! a zdajecie sobie sprawę z tego, co zamierzacie zrobić? Tu idzie o naszą szyję — to trza wam wszystkim wiedzieć.

Znowu nastała grobowa cisza.

— Djabla sprawa — przerwał Jędrzej, bezwiednie wypuszczając parę z ust.

— Źle mówicie, Jędrzeju! sprawa jest Boża i po Bożemu trza się do niej zabrać. A że mogłaby się źle skończyć, winien czas. Trzeba się jednak zabezpieczyć, aby przynajmniej tę niepewność zrzucić z serca, któraby nas potem gryźć mogła.

— O czem to mówicie, Wincenty?

— Zaraz powiem. Wpierw się zapytam o co innego. Wie kto u was w domach, że tutaj jesteście?

— Nikt! — odezwały się szeptem trzy głosy.

— Zwierzaliście się przed kimś, że tę sprawę mamy w projekcie?

— Nie.

— Zatem dobrze. Możemy przystąpić do dzieła. Widzicie przez okno światło? Wielki ołtarz... Tam Jezus... Pamiętajcie, że w Jego obecności musimy złożyć przysięgę na zachowanie w tajemnicy wszystkiego, co będzie dotyczyło dzisiejszej sprawy i całego naszego przedsięwzięcia. Ani słówkiem, nawet przed żoną! Chcecie przysięgać?

— Chcemy!

Poklękli pod murem kościoła, dotykając wargami zimnego głazu, zwilżonego kroplami rosy. Zaś ręce pokładli wszyscy na ścianie świątyni — i poczęli wymawiać słowa równo i dobitnie naprędce ułożonej przysięgi.

A ciemna noc gdzieniegdzie przeświecała drobnemi iskrami gwiazd, a stare drzewa poczęły nagle szumieć i uderzać konarami w próchno swego rdzenia.

W cichości podeszli ku drzwiom dzwonicy, zarazem głównej bramy kościoła. Zgrzytnął w zamku klucz, z niemałym trudem dopasowany. Wreszcie żelaziwa puściły, a w otwarte drzwi, niby w ciemną czeluść weszły cztery postacie. Drzwi podparto od wewnątrz.

— Teraz trza zapalić latarnię...

Błysło światło zapałki.

— Trzeba świecić tylko pod nogi, żebyśmy jako po schodach wyjść mogli... Nie skrzypieć, bo plebanja niedaleko.

Zaczęli się wspinać na wieżę. Raz po raz zatrzeszczał jakiś nadwyrężony stopień krętych schodów, a wtedy następnie nogi omijały go z baczną uwagą. Niedługo to jednak trwało, bo i do szczytu nie było zbyt dalko. Wkrótce znaleźli się w obszernej komorze, gdzie wisiał dzwon „Michał", do grubej, dębowej belki przymocowany. Był sam jeden, lecz znać było, że miał towarzysza, z którym niedawno musiał się rozstać, co można było poznać po świeżych śladach na belce.

— Jeżeli ktoś ma co zbytniego na sobie, — komenderował Witek — niech da, bo trza okiennicę zatkać. A niechby tak dostrzegli... No!

— Niema ich przecież we wsi — mówił wolno Szymon, zdejmując ze siebie bluzę, aby jej użyć na zasłonę. — Dziś byli w Jesionce, zabrali resztę dzwonów i odjechali w stronę stacji. Do nas mogą przybyć dopiero jutro.

— Eche! kogo nagli, ten się i pospieszyć umie. Przydałyby się armatki z naszych dzwonów, przydały, bo tamtych już nie wiele zostało, coś Moskal dobrze tłucze.

Kiedy się upewnili, że wszystkie szpary dzwonicy zostały zatkane, zabrali się do zdejmowania „Michała". Mieli już poniekąd wprawę, gdyż byli niedawno widzami podobnego faktu, który miał miejsce przed paru miesiącami, kiedy austrjackie władze wojskowe zdejmowały „Marję".

Wszelkie prośby i protesty nic nie znaczyły. W oczach nadbiegłych parafjan i księdza, który stał na uboczu z niemym sprzeciwem, odśrubowali dzwon i zrzucili go z wieży na ziemię. „Marja" roztrzaskała się w kawałki. Poczem, zabrawszy trzopy na wóz, odjechali do sąsiedniej wioski, żegnani milczącem błogosławieństwem zebranej gromady. Długo nikt słowa nie mógł wykrztusić; wszak spotkał wszystkich zawód: szły bowiem ciche pogłoski, że wojnie będzie koniec, że chłopi wnet zaczną powracać. Zabrane dzwony przeczyły wszystkiemu. Upłynęło kilkanaście tygodni, aż znowu podziemna i domowa poczta doniosła, że zbierają resztę dzwonów, jakie gdzie zostały. Nawet sygnaturki nie mają się ostać. Tego było chłopom za wiele. Tyle kosztów, tyle składek, zanim się coś do kościoła kupi, a to ma iść na takie zepsucie? W takie ręce? Żeby to choć swoi! — nie byłoby żal oddać ostatnigo sprzętu. Lecz im?... Więc zmówili się prędko a pokryjomu; czas bowiem naglił.

Może była godzina po północy, gdy dzwon legnął na podłodze rusztowania; nie był znowu takim okazem, żeby czterech chłopów nie mogło mu dać rady.

— Co teraz, Jędrzeju? Dzwon leży, ale co dalej? gdzie go podziać?

Jędrzej, który zdawał się być przywódcą owego ruchu, zaczął się namyślać.

— Wy Szymonie, zaopiekujecie się „sercem", — wasze staranie, jak go schować — my we trzech zajmiemy się resztą.

Nie było sprzeciwów.

I znów zaczęły trzeszczeć schody, giąć się i skrzypieć. To też kroki były ostrożne i bardzo powolne,

czasami bowiem mogło grozić niebezpieczeństwo wypadku.

Gdy dzwon znalazł się poza obrębem kościoła, wrócili jeszcze raz wszyscy na wieżę, aby zatrzeć wszelkie ślady.

— Niech przyjdą teraz!...

— Za nasze podatki!... Mało nagrabili? Powinno starczyć na siedem wojen.

— Złodziejstwo.

— Nie co innego. Przed wojną skubali podatki, teraz — czem tylko się da: chłopów zabrali, konie zabrali, po bydło zachodzą, zboże przymusem skupują, a teraz jeszcze dzwony.

— Człowiek nie dość, że wszystko daje, jeszcze się biedzi z pytaniem: dla kogo to? za co? czy co z tego mieć będziemy?

— A tyle, że nas ogołocą do imentu, ludzi potłuką na wojnie i na tem koniec. Więcej nic nie zobaczymy, nic.

Wkrótce zaległa koło kościoła bezwzględna cisza. Trzej chłopi znikli w pobliskich zabudowaniach, a tylko Szymon, uginają się do samej ziemi, kołował wygonami ku swej chacie, stojącej w końcu wsi.

— Zadzwonisz mi bodaj kiedyś za to, zadzwonisz! Gdy mnie poniosą tak, jak ja dziś ciebie.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Budził się świat, odbijał od ziemi, podnosił się coraz wyżej, uderzając szumem rannego orzeźwienia i lekkości.

W zakrystji płonęły przed krzyżem dwie świece, w których świetle ubierał się do mszy ksiądz proboszcz, szepcząc poranne modlitwy. Pomagał mu chłopak, ten sam, który miał służyć do mszy.

W kościele była jeszcze cisza, przerywana nierównym szeptem kilku kobiet, które, siedząc w ławkach pod chórem, półgłosem odmawiały pacierze.

Hałasu narobił dopiero kościelny, uderzając zamaszyście okutemi obcasami o kamienną posadzkę. Przystanął w tyle nawy koło skórzanego pasa, zwisającego od sufitu, aby pociągnięciem dać znać wsi, iż dzień rozpoczęty, więc należy go zacząć imieniem Pańskiem.

Okręcił pas koło ręki i pociągnął raz i drugi... Pas coś odsunął się w dół. Kościelny chwycił wyżej i, ciągnąc, zaczął nadsłuchiwać, czy rzeczywiście dolatuje głos z wieży. Nic. Tylko pas za każdem pociągnięciem posuwa się coraz bardziej w dół.

— Ki djab... Boże przepuść! Na tem świętem miejscu... — zamruczał poirytowany kościelny i jeszcze mocnij szarpnął. Zacharczało coś w otworze sufitu, poczem na zdumioną głowę starego Piotra spadł skórzany pas. Łączność pomiędzy Piotrem a jedynym jego przyjacielem — „Michałem" została najwidoczniej przerwana.

Nachylił się nad sznurem, aby zbadać przyczynę, gdy wtem zobaczył we węzełku białą kartkę. Podniósł ją skwapliwie, rozwinął, podszedł do lichtarza i począł sylabizować:

„Naszemu księdzu proboszczowi donosimy, jakoby wedle tej przyczyny, iż dzwonu niema, a prawdę powiedziawszy — my sami nie wiemy, gdzie on w tej chwili jest. Wiemy to, o czem chcemy donieść, że dzwon się sam znajdzie, jak tylko zły czas minie, a dobre czasy nastaną, co za przyczyną naszego św. Michała i innych świętych kiedyś przecie się stanie.

Jeden dzwon już zabrano, drugiego i ostatniego nie damy, bo kto nam się złoży na nowy, kiedy u nas bieda się zrobiła przez tę wojnę, że aż strach. Zarzekać się — nie zarzekamy, bo może przyjdą tacy, którzy będą mieli większe tutaj prawa od tych, co wzięli „Marję", a wtedy i „Michał" się pokaże i będzie oczekiwał swego losu. Jaki będzie ten los, to my se miarkujemy: wróci tam, gdzie był, aby się radować ze wszystkimi, co daj Boże, amen. — Parafjanie".

Piotr nie rozumiejąc wszystkiego, pobiegł pędem do zakrystji, wlokąc za sobą przez cały kościół długi pas.

— Dyć... księże dobrodzieju, już i „Michała" niema... Ciągnę, ciągnę, ażem się dociągnął: pas gruchnął na moją głowę... Skradziony! Oj, kiepsko na świecie! Kościół bez dzwonu... I jak tu umrzyć? Ani żydy...

Ksiądz spojrzał na kartkę i nieznacznie pokraśniał na twarzy.

— Nie trapcie się, Piotrze, lecz idźcie zaświecać przed wielkim ołtarzem. Wiedźcie, że po złem przychodzi dobre.

— To msza będzie bez dzwonienia? Jak w Wielki Piątek, jak...

Podreptał, mrucząc pod nosem, iż wszystko na nic, msza bez wartości, gdyż on głosem dzwonu nie ogłosił niebu i ziemi, a bez tego święci napewno są czemś zajęci i nie zwrócą żadnej uwagi. Szkoda wszystkiego...

Gdy Piotr zaświecał ostatnią świecę, jęknął dzwonek przy zakrystji, a w drzwiach ukazał się proboszcz z kielichem, uśmiechnięty i zapatrzony w jakąś daleką przyszłość, rozwidniającą się blademi smugami zórz, za którą trzeba było jeszcze złożyć niejedną ofiarę.

Przez kolorowe szyby sączył się młodzieńczy ranek, rozochocony do życia, pracy i wesela.

— Introibo ad altare Dei.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

I szły dni ciężkie, senne, mgliste, przygniecione duszną atmosferą niesamowitych wypadków wojny, przynoszących światu rozprężenie, zamęt i zniszczenie.

Okradzione wieże kościołów milczały, nie mogąc zaprotestować przemocy, nie mogąc powstrzymać żądzy krwi i śmierci. Wieże milczały trwożliwie, nie śmiąc przypomnieć się niebu, jakby czując na sobie gniew winy szaleńczego czasu, z którego kart zostało wydarte i skopane przykazanie miłości.

Aż wreszcie, jak po każdej burzy, wypogodził się horyzont, a w skołatane i tętniące jeszcze serca zaczął się sączyć odblask nadziei, pokoju i sprawiedliwości.

Zbliżał się czas, kiedy wypadało uderzyć we wszystkie dzwony, jako na „Jutrznię" nowego dnia, nowych celów, zamierzań, poczynań, nowych marzeń i snów o „potędze", słowem — nowego życia. Świt szedł, wyzwalając się z ostatnich pokus ciemności. Szedł okolony nimbem zmartwychwstania, otulony przejrzystą bielą światłości, oszołomiający nerw czucia, rozpychający krew w żyłach.

I rozhulał się „Zygmunt" a z nim wiele ocalałych serc ze śpiżu.

Tylko w jednej zapadłej wiosce była bezwzględna cisza. Znamy ją wszyscy. Widzieliśmy ją podczas owej nocy, kiedy to wszystko zapadało się w mroki, a ona istniała i przy mdłym blasku migotliwego światła dokonywała dzieła, napozór bardzo nieznacznego. Znamy, więc nie potrzeba trudzić się z nadaniem tej wsi imienia.

(Dokończenie nastąpi).



Marcin Lorenc.

Włościański syn, rycerz polski.

Przy mieście polskiem Krosno leży wieś Krościenko wyższe, tak nazwane dlatego, że leży wyżej nad rzeką Wisłokiem, niżej zaś nad rzeką znajduje się Krościenko niższe.

Za polskich królów było w okolicy starostwo Jasielskie, do którego należało Krosno z wsiami, a wieś Krościenko wyższe i niższe, a dalej Korczyna i Zamek Odrzykoński. Królowie polscy podarowali Zamek Odrzykoński z bliskiemi wsiami zasłużonym panom, jak Kamienieckim, Bonarom, Firlejom a na końcu dostał je hetman Branicki Jan. Po podziale Polski dostała się Galicja w roku 1774 rządowi austrjackiemu. Ostatnim starostą polskim jasielskim był hr. Józef Jabłonowski, dziedzic Krościenka i wsi bliskich.

Otóż w Krościenku wyższem urodził się Marcin Lorenc i dostał się na lokaja do dworu w Krościenku.

Nie umiał on ani czytać ani pisać, bo wtedy nie było szkoły we wsi, ale przez własną ciekawość nauczył się od starszego lokaja czytania, pisania i rachunków. Hetman Branicki Jan, dziedzic zamku Odrzykońskich i bliskich wsi, umarł r. 1771 w jesieni, odtąd zamek został pustym i opuszczonym.

Ale na zamku pozostał wierny sługa, którego nazywali ludzie Machnickim, a który z żalu wielkiego za swą Ojczyzną straconą, i za dobrym panem dostał aż pomięszania rozumu; siedział on sam na zamku, choć dach na nim gnił i mury się waliły, a do bliskich dworów i księży przychodził jak dziadek po jałmużnę.

Jako obłąkany nosił w ręce gałązki zielone, a idąc przez wieś do dworu lub na plebanję, śpiewał pieśni, albo gadał sam do siebie i z płaczem opowiadał o królach polskich.

Przychodził on najczęściej do dworu w Krościenku, gdzie był lokajem Marcin Lorenc, opowiadał mu z płaczem, co mu strasznie ciężyło na sercu, co mu aż głowę przewróciło i ciągle na myśli we dnie i w nocy stało, i do płaczu i skargi pobudzało, a Marcin słuchał skargi warjata, nieraz sam zapłakał nad opowiadaniem różnych ciekawości, a każde słowa warjata brał sobie do głowy, po nocach rozmyślał, drugim sługom dworskim opowiadał, starsznego lokaja pytał czy to prawda, co mu Machnicki ciągle mówi.

Z takiego opowiadania Machnickiego dowiedział się Marcin Lorenc, młody jeszcze dworak, dużo ciekawych rzeczy o kraju polskim, o królach, o panach w Odrzykoniu. A z ciekawości sam biegał, jak miał czas w święto, na bliski zamek Odrzykoński, oglądał mury, baszty, studnię głęboką i wykutą w skale, nawet zazierał do piwnicy, o której mu ludzie różne gadki opowiadali, przypatrywał się kamieniom i cieszył się z tego, że umiał drugim sługom i włościanom opowiadać, co sam sobie spamiętał.

Takie ciekawości zrobiły w jego głowie zmianę wielką, bo dowiedział się, że miasta, zamki i wsie były poprzód królów i panów polskich dziedzictwem, że nie tylko sami panowie, ale i mieszczanie i włościanie, wszyscy byli od wieków Polakami i są takimi, choć należeli do Austrji, a więc że on sam, choć z wiejskiego stanu i lokaj dworski, także był Polakiem.

Gdy został sam lokajem, zrobili Polacy w Warszawie w dzień św. Andrzeja r. 1830 powstanie przeciw moskiewskim carom, którzy Polaków bardzo uciskali.

Marcin Lorenc czytał z zapałem po nocach, co gazety pisały, brał sobie dworskie gazety do swej izdebki, czytał z ochotą, a potem nie mógł usnąć, tak go ta wojna rozciekawiła. Po Mszy św. w niedzielę gromadził lud i głośno opowiadał, co się dzieje w Warszawie, a potem namawiał, aby kto z nim szedł do Warszawy.

Otóż rzucił służbę lokajską! Pan Leon Jabłoński dał mu konia, wyprawę całą na wojnę, pani dała błogosławieństwo, obiecali mu nagrodę, jak wróci, i poszedł sam jak palec do Warszawy za językiem swoim bez przewodnika.

Zapytacie, czy wrócił?

Oto roku 1831, przed Matką Boską Siewną doniósł jeden rycerz polski, co przybył od Warszawy do nas, bo się wojna kończyła i przyniósł pismo takie:

„Marcin Lorenc, syn włościański z Krościenka dostał gwiazdę na piersi srebrną od polskiego generała Skrzyneckiego za śmiałość i odwagę i zginął w strasznej walce przeciw Moskalom pod Ostrołęką i pochowany".

Oto rycerz z chaty włościańskiej.

Wy, co to czytacie, uczcie się od tego Marcina, jak macie kochać kraj polski i jakimi powinniście być Polakami, a rodzina Lorenców niech się chwali wszędzie, że miała takiego w rodzinie, że o nim dziś piszą i pisać będą.



Boże Ciało.

Jedno wspomnienie, co mi zostało z życia
w beztrosce, a z lat dziecinnych — to Boże
Ciało w rodzinnej wiosce: i ta procesja! ten
lud wierzący (młodzi i starzy!) i Ten »Ukryty«, błogosławiący z czterech ołtarzy!...
i zapach kwiecia —
i ta przedziwna
woń trybularzy!...

I skrucha kmiecia, i — łzy cieknące po
zwiędłej twarzy!... i te, z pod serca, pieśni
strzeliste — z sierocej doli:
...Błogosław, Chryste,
ludowi Twemu
i jego — roli!

...i to cierpienie — prosim w pokorze —
zmień na uśmiechy!«...
Drogie wspomnienia!
najmilsze może
z pod ojców strzechy!

Dziś — tam słonecznie! wszystko brzmi
piosnką i serc chorałem, jeno ja, wiecznie,
tęsknię za wioską!... za Bożem Ciałem!...
i czy zobaczę
jeszcze przed zgonem
próg w słonku złotem,

choć nie oczyma: w śnie wymarzonym —
sam Bóg wie o tem!...

E. Kłonicki.

ŚW. ANTONI PADEWSKI.



Między świętymi wielu jest, których naśladujemy, wielu, których wzywamy, nie znając ich cnót, ale odczuwając pośrednictwa.

Do tych ostatnich należy św. Antoni. Iluż jego czcicieli wyobraża sobie, że się urodził w Padwie. Dziewiczość jego życia i ścisłe złączenie z Bogiem odgadują, widząc na jego posągach lilję i Dziecię Jezus, ale znaczenia księgi, na której Dzieciątko się wspiera, odgadnąć nie potrafią.

Warto przecież dowiedzieć się, co o świętym Antonim mówi historja.

Św. Antoni urodził się w Portugalji, w Lizbonie w r. 1195.

Teraz dom jego rodzinny otoczony jest czcią. Był synem generała króla Alfonsa I. Młodszy o 13 lat od św. Franciszka, nie znał jego zakonu i wstąpił do Augustjanów, mając lat piętnaście. Ale że w klasztorze rodzinnego miasta odwiedzali go przyjaciele, przeszkadzając w rozmyślaniach, więc przeniósł się do Coimbry, gdzie był sławny uniwersytet. Obdarzony niezwykłą pamięcią — zdobył tam wiedzę tak rozległą, że w Mszy świętej ułożonej na jego cześć Kościół wspomina dar mądrości i rady, jaki posiadał. Właśnie wtedy w Coimbrze odbywały się uroczystości na cześć Franciszkanów umęczonych w Marokku.

Święty pragnął męczeństwa, przeniósł się więc do zakonu Franciszkanów w nadziei, że poślą go do Afryki. Gdy się o tem dowiedzieli jego towarzysze, jeden z nich zawołał:

— Idź, idź, zostaniesz świętym.

— Dlaczegóżby nie — będziesz śpiewał „Te Deum" w dniu mojej kanonizacji — odrzekł z prostotą Antoni.

Nie dojechał jednak do Afryki, chory, burzą zagnany został na wyspę Sycylję, a stamtąd pieszo przez Włochy dostał się do Asyżu. Był pokorny, nikt nie odgadł w zakonie, że był mądrym i świętym. Zamiłowany w samotności żył jak pustelnik i dopiero przypadkowo poznano jego dar wymowy.

Raz gdy zebrało się wielu zakonników, a żaden nie chciał przemawiać, w imię posłuszeństwa wezwano Antoniego. Głębokość wiedzy i zapał oczarowały wszystkich. Odtąd jako kaznodzieja przebiegał Włochy i Francję. Na wieść o jego kazaniu porzucano pracę, a przy świetle pochodni, aby znaleźć miejsce zbierały się na placach tysiące ludzi starych, młodych, prostych, uczonych, pobożnych i bezbożnych. Tylko dwa ostatnie lata życia przepędził w Padwie. Żył lat 36. Zmarł 13 czerwca 1231 r. ze słowami: Widzę Chrystusa.

W niespełna rok po Jego śmierci papież Grzegorz IX, który go znał i czcił, policzył go w poczet świętych. Przyjaciele zaśpiewali Te Deum.

Święty Antoni sławnym jest cudotwórcą. W jednej z kaplic temu świętemu poświęconej, znajdują się freski, przedstawiające cztery najsławniejsze jego cuda. Pochodzą z r. 1480. Jeden przedstawia muła, który zamiast biedz do żłobu, chociaż jest głodny, klęka przed Najśw. Sakramentem, drugi kazanie do ryb. Widać setki ryb wychylonych z wody na rozkaz świętego. Trzeci przedstawia trupa skąpca. Doktor daremnie szuka serca w piersi nieszczęśliwego. Znajduje się ono w skrzyni pełnej skarbów, jak to zapowiedział święty. Wreszcie czwarty przedstawia pokutnika. Żalem zdjęty za swoje grzechy, zły syn odcina sobie nogę, którą w gniewie kopnął matkę. Święty

uzdrawia nogę i koi wyrzuty sumienia.

Cały świat chrześcijański czci w świętym Antonim patrona, odnajdującego rzeczy zgubione. Jest opowieść, że raz zginął świętemu psałterz, opatrzony notatkami, którego używał, ucząc nowicjuszy. Bardzo zmartwiony zaczął się modlić, a złodziej, dręczony wyrzutami sumienia, odniósł ukradzioną książkę. Odtąd wzywają jego pomocy wszyscy, którzy pragną odzyskać zgubę. Dlaczego jednak przedstawiony bywa z księgą? Prawdopodobnie przypomina ona tylko głębię jego wiedzy lub też pięknie oprawne kazanie świętego przechowywane w odpisie w bibljotece w Padwie i czczone jak relikwja.

Nie cuda tylko, ani skuteczność pośrednictwa czynią wielkim świętego Antoniego.

Aureolę jego stanowią, jak mówi stara pieśń kościelna: Przykład cnót, kwiat cudów, światło wiedzy i siła słowa.



MACIEK BZDURA GADA:

W tamtę niedzielę nasa gospodyni okrutecnie się wściekli na nasego gospodarza. Myślałem, ze ich pieron w pośladek trafił, bo choć jem gębowanie nie nowina, to przeciez nigdy jesce tak swojej jadacki nie rozdziawili, jak wtencas na nasego gospodarza.

A było to tak:

Przyśli se gospodarz po nabożeństwie z parafjalnego kościółka, pojedli z godzinkę darów Bożych i tak powiadają całkiem rozumnie i uściwie do gospodyni:

— Słuchaj, Jaguś, i uwaz sobie to dobrze. Po połedniu będzies musiała sama dopilnować ogonów na paświsku, bom pastuchowi i Kaśce pozwolił pójść na niespór, a my z Maciejem pójdziewa do wójta, bo się tam mają zebrać gospodarze i radzić nad załozeniem spółki rolnicej la wspólnego sprowadzania różnych towarów i la spólnego sprzedawania ziarna, jak się urodzi, jajków, jak ich kury naniesą i insych rzecy, którémi Poniezus ludzi obdarzy.

Jacy ci gospodarz poćciwi! Inksy toby babę sklął i spierunował, a oni takiej wiedźmie, jak moja gospodyni, a gospodarzowa baba, Jaguś gadają i to jesce tak słodziutko, ze jaz się ckliwo na wymiącku robi. Pedziołbym ja im Jaguś, pedzioł, jakby tak pod moje rozkazywanie przyśli!!...

Ale nie o to idzie. Jacy to mój gospodarz pedzieli, jak wam „kochana" Jagunia, to jest niby baba mojego gospodarza, na nich z gębą nie wsiędą, tom myślał, ze wszyćka zwierzyna na całem świecie do imienia pogłuchnie.

— Ja ci dam zgromadzenia! — padają. — Co ci to po zgromadzeniach, aby ino cas po próżnicy tracić, a bidną niewiastę w tęśnicy i samotności na pośmiewisko ludzkie zostawić!

Ze to mój gospodarz cłek statecny i powolny, więc nie wzięli powroza i nie przełojili baby po siedzeniu, to się dziwić potrza. Ale wnet co gorsiejse, to oni jęli gospodyni tłomacyć, ze chłopy powinni się razem co tydzień schodzić i nad swoją dolą radzić, aby raz jakosik w kraju było lepiej.

— Wis, Jaguś, — padają — jak cłek jakikolwiek, wsiowy cy miastowy, chodzi luzem, to on jest słaby i ni ma nijakiej wziętości, ale jak się złący kupa ludzi i razem idą, to się zrobi taka siła, jak zelazo, ze nicem jej zmódz się nie potrafi. To tak, jak te pchły. Jak jedna po nadołku tańcuje, to byle baba ją pochwyci, ino palec naślini, a jak ich tam będzie dziesięć, albo pietnaście, to choć jednę złapie, to reśta ucieknie i dalej będzie ssała babską krew z pośladka. Jakby my się tak zebrali, tobyśmy moze i swój sklep załozyli i juz nie trzbaby kupować u zydów, ale u samych siebie.

— Cie go! — padają gospodyni — Powsinoga! Sami u siebie! Juz ja ta wolę kupić u Mośka, bo u niego dwa i trzy grose utarguję, a on casem i herbatką człowieka potraktuje!

— No tak, co prawda, to prawda, ze utargujes — gospodarz na to. Ale choćby ci i dziesięć grosy na złotem opuścił, to i tak drozej zapłacis, jak u katolika, a jezeli nawet nie drozej, to zyd ci da towar gorsiejsy, więc cy tak, cy tak, to zawse stracis. A za zydowską herbatkę, to na cem inksem dobrze ją zapłacis. A zreśtą za zydowską herbatkę, to Bóg ci zapłać! Zyd w wodzie garcek obmyje, dziecka okąpie, a z tego potem zrobi la chrześcijanina herbatkę. Juzbym ja ta zydowskiej herbaty za nic w świecie nie pił. W katolickiem sklepie ani targowania nima, ani herbatki nima, ale za to towar lepsiejsy, a zysk jaki jest z towaru, to jak się założyłoby wspólny sklep, toby sed la całej wsi.

Mądrze gadali gospodarz i insa baba toby położyła usy po cholewach i dała pyskowaniu spokój, ale u nasej gospodyni to się to nie trafia! Im kto do nich mądrzej gada, to oni przy swojem jesce bardziej się upirają, a jak zacną wrzesceć i labidzić, to ani święty z niebaby nie wytrzymał. To też i mój gospodarz mają ten ślachetny zwycaj, ze jak gospodyni najbardziej na nich „huzia", to oni ani mru... mru... Tak i teraz zrobili, na zgromadzenie nie pośli, a Jagusia gadali i gadali do samego wiecora. I dopiro wiecorem, jak my się mieli do ligania zabirać, to przestali. Bo gosposia moja bez cały dzień bez chłopa się obejdą, ale w nocy nie.

Myśli.

Gdy wór pełen złota, majątku masz wiele,
Wtenczas ci sprzyjają różni przyjaciele.
Gdy się miech wypróżni, wygląda jak łata,
Niema wtedy przyjaciół, ni siostry, ni brata.

☆

Żadna z siebie roślina kwiatu nie dobędzie,
Jeśli słońcem, rosą krzepić się nie będzie.

☆

Ciężka, smutna to jest dola, nie mieć zdrowia i pieniędzy,
Lecz gdy człek jest zdrów i wesół, bogaczem jest mimo nędzy.

☆

Sokrates daje radę na spokój w rodzinie,
Poucinać języki tak sługom jak żonie.

☆

Pies instynktem wrodzonym wie służyć ma komu,
I czy to dniem, czy nocą, strzeże pana domu.

Piotr Wenc.

LUDWIK ST. UNSING. (Przedruk wzbroniony).



Powieść biblijna.

XI.

Poncjus Piłatus.

Wczesnym rankiem, gdy wielkorządca spożywał śniadanie, wszedł do triklinjum centurjon ze Sjonu. Za kotarą, którą był odchylił wchodząc, widać było w głębi portyku sędziego Zarabatela z miną wielce poważną, przechadzającego się nerwowo. Centurjon podał zwinięty pergamin Piłatowi. Ten pergamin był przewiązany sznurkiem niebieskim i zakończony stemplem sześcioramiennej gwiazdy. Poncjus Pilatus przebiegł wzrokiem pismo, poczem uśmiechnął się złośliwie.

— Gdzie jest więzień? — zapytał.

— W bastjonie, wasza dostojność!

— W którym?

— W millońskim, w trzeciem podziemiu katowni.

— Zamiast na odwachu Antonji, lub strażnicy sądu? — zmarszczył brwi Piłat. — Przedewszystkiem, więźnia wydobyć na światło i zwolnić ze sznurów.

— Stanie się! wasza dostojność! — wyprostował się centurjon.

— Następnie, nieuszkodzonego, mówię nieuszkodzonego! przyprowadzić do ładu i ogrzać, poczem chcę go widzieć. A to... nie podpiszę! — rzekł wracając napowrót pergamin, który centurjon zrolował na kolanie.

— Wasza dostojność! — szepnął. — W portyku czeka sędzia Zarabatel.

— Tem lepiej! Akt oddasz mu do ręki i powiesz, że chcę, aby więzień był uwolniony od winy i kary!

— Stanie się, wasza dostojność!

Centurjon wyszedł, a Piłat jął chodzić po komnacie.

— Cieszę się — myślał w duchu — że tak prędko załatwiłem sprawę tetrarchy. Ten judejczyk musi jednak dużo ważyć na szali żydowskiej, skoro w taki sposób chcą go unieszkodliwić... Doraźną rozprawą, cichaczem w nocy! Dobrze miałeś przyjacielu, że uprzedziłeś mnie odrazu — myślał — siadając do stołu i pisząc rylcem po tabliczce woskowej. Obłożył ją następnie pieczęcią i wysłał gońca do tetrarchy. Potem, zatarł ręce, zadowolony i kończył rozpoczęte śniadanie.

Wtem brzękły łańcuszki kotary, a odsłaniająca się materja, przy nerwowem jej szarpnięciu, opadła niby płaszcz na plecy nowego przybysza.

Był to sędzia Zarabatel.

Skłonił się wedle zwyczaju, stanąwszy u samego wejścia, trzymając pod fałdami togi w połowie widoczny akt.

— Wchodząc tu, łamię prawo Zakonu, które robi mnie nieczystym — rzekł cierpkawo.

— To lepiej było nie wchodzić! — poradził Piłat.

— Wasza dostojność, krzywdzi wielce powagę sądu Siedmdziesięciu jeden! Podkopuje zaufanie w jego sprawiedliwość...

— Jest mojem prawem, łagodzić lub obostrzyć wyrok. W tym wypadku korzystam z tego pierwszego prawa — odrzekł Poncjus.

— Ośmielę się zwrócić uwagę, że w tym wypadku, nie docenia wasza dostojność znaczenia wyroku. Nazarejczyk jest spiskowcem! Nazarejczyk jest żydem, szkodliwym dla żydów i wielce niebezpiecznym dla imperjum. Wyrok zapadł ze łzami w oczach; przykro bowiem jest sądzić doraźnie ziomka.

— Dlatego idę na rękę tej ewentualności i puszczę go wolno — wesoło powiedział Piłat.

— Tego nie przebaczy waszej dostojności imperator Tyberjus — znacząco zaakcentował Zarabatel. — Nam chodzi o całość spraw żydowskich i jesteśmy lojalni. Nie możemy ścierpieć między sobą jednostki wywrotowej w imię lojalności i z woli ludu!

— A ja nie mogę karać śmiercią człowieka, za publiczną awanturę, co najwyżej chłostą!

— Nasze prawo, wasza dostojność — karze jednak śmiercią zniewagę miejsc świętych. Jeśli wyroku nie wykonamy, cały naród powstanie!

— Widzę, zaczynasz grozić synu Izmaela! — ostro zauważył Poncjus.

— Nie grożę, bo i na cóżby się to zdało? — uśmiechnął się gorzkawo Zarabatel. — Opieram się jedynie na prawie nie mającym apelacji. Bowiem musimy słuchać prawa! Nasze żąda śmierci doraźnie za gwałt i rzymskie prawo również doraźnie śmiercią karze spiskowych wywrotowców. Może nareszcie, łaska waszej dostojności złagodzić wyrok za gwałt publiczny, atoli rewolucjonistę usiłującego zdobyć tron żydowski, ukarać należy!

— Więc czemuż nie ukaraliście go doraźnie na miejscu zniewagi? Obeszłoby się bez sądu i mojego w tem udziału. A co się tyczy jego spiskowych ekscesów, to wyrok jest nieformalny!

— A toż dlaczego? — oburzył się Zarabatel.

— Dlaczego? Dlatego, że na rozprawie nie był obecny cesarski prokurator.

— Wasza dostojność przeoczył widać tę okoliczność, że mam prawo zastępstwa. Pod względem prawnym, wyrok jest przeto najściślej formalny i nawet dyskusji nie podlegający.

— Ale ja osobiście mam dane, żeby się wyrokowi oprzeć i przyznam ci się, synu Izmaela, że nic mnie nie zmusi do zatwierdzenia tego aktu.

— Skoro tak... — z błyskiem w oczach zawołał Zarabatel. Skoro tak, tedy... dobrze!

— Znowu grozisz?! — ryknął Piłat.

— Nie grożę, a przestrzegam — tłumaczył się sędzia.

— Twoich przestróg nie potrzebuję!

— Wiem, wasza dostojność. Ale konsekwencje tego czynu, smutnie się przypomną waszej dostojności i kto wie czy nie zapóźno będzie wtedy żałować...

— Na bogi sędzio! Już mi brakuje cierpliwości! Nie zatwierdzę, powiedziałem! — zdenerwował się Piłat.

— Tedy, dobrze! — skłonił się Zarabatel i wyszedł. Mocny stuk jego sandałów długo jeszcze obijał się o uszy Piłata. A Piłat chodził po komnacie, urażony w swej ambicji.

— Nie może to być w żaden raz, aby w taki bezczelny sposób ignorowało mnie żydowstwo! — myślał zirytowany. — Czemraz więcej usiłują zacieśnić moją władzę i poprostu wypierają mnie, jak coś zbytecznego! Ale wy jeszcze nie znacie Ponckiego Piłata! — krzyknął i uderzył w gong. Wszedł centurjon.

— Znasz tego żyda co tu był przed chwilą? — zapytał.

— Zarabatela? Znam wasza dostojność.

— Gotów jest wywołać rozruchy; trzeba go śledzić! Gdyby zauważono najmniejszy ruch buntu, uwięzić go i w tę jamę trzeciego podziemia katowni millońskiej wtrącić! Zwrócisz uwagę na obroty An-

nasza, faryzeuszy rozpędzić z pod świątyni i zapobiegniesz gromadzeniu się tłumu! Obstawisz bramy wschodnie i północno-zachodnie i utrudniać będziesz wejście do miasta. A ten Nazarejczyk cało ma być dostawiony do mnie!

— Stanie się, wasza dostojność!

Dokonawszy tego, Poncjus Piłatus znowu poczuł zadowolenie i wyszedł zażyć rannej przechadzki. Słońce okazywało się już nad Sjonem, grając pieszczotliwie barwami po dachach świątyni. Miłe ranki o wschodzie w Jerozolimie były znane, i ściągały różnych ludzi zdaleka dla obserwacji i zachwytu. Można było widzieć grupki obcych rozlokowanych po wzgórzach i patrzących na ten piękny wschód złoto purpurowej kuli, której promienie wieloramienne opierały się na kopule sjońskiej budowli.

Mimo tego piękna, które codziennie w siebie wchłaniał i, które regulowało poniekąd wpływ trosk, poczuł Piłat w sobie drobniuchną jakąś przeszkodę. Coś co nie można było nie odczuć. Tak, jakby stojąc w nocy na niewidzialnej podstawie, czuło się jej usuwanie pod stopami, lekutkie, nieznaczne, ale któremu nie jest się w stanie zapobiec. Ten piękny wschód słońca niósł w sobie jakiś ferment i stanowczo dzisiaj drażnił, nie wiadomo dlaczego, ale oczywiście.

Coby to było?

Poncjus Pilatus wzruszył ramionami. Nie wiedział poprostu, ale czuł coraz wyraźniej, coś, co bezimiennie nurtuje, zwolna się zwiększało i urosło. W pół godziny, dało się poznać i określić bliżej: była to obawa. Czego? Nieznanego.

Czyżbym się bał żydów? zapytał sam siebie i natychmiast prawie wybuchnął śmiechem. Ale zauważył, że ten śmiech nosi w sobie znamiona przymusu, jest poprostu sztuczny i źle maskuje obawę.

— Holla! Basta!

Rozebrał się do naga i skoczył do marmurowego basenu pełnego wody ciągle odświeżającej się. Potem wyskoczył, wytarł się zgrzebną tkaniną i wrócił do triklinjum. Wyjrzał przez okno.

Po wydanym rozkazie dziennym, powinien być spokój pod świątynią, a tam właśnie był ruch i to krzykliwy. Wiedziono Nazarejczyka dobrze chronionego strażą, ale miała ona wiele pracy z tą ochroną, gdyż tłum napierał nieżyczliwie. W gromadzie było ciało uczone, gromadki Amoraim i kapłaństwo.

Tłum nie bał się wojska w tej znikomej liczbie, podnosił groźne okrzyki i nierzadko padał kamień w środek straży.

— Stanowczo bunt! — pomyślał Piłat. Ukuta pod ziemią żydowska robota, oto dlatego tak się stawiał ten obrzydliwiec!

A tłum rósł, podsycany przez kogoś niewidzialnego i wył. Wyraźne pogróżki przeciw opornemu stanowisku wielkorządcy, przeciw pogwałceniu praw autonomicznego narodu, który sobą igrać nie pozwoli!

Cała ta burzliwa demonstracja sunęła ku pałacowi Piłata z zamiarem otoczenia go półkolem. Gromadka straży z Nazarejczykiem tonęła we wnętrznościach tego tłumu, który zdradzał sadystyczne rozbestwienie. Nie ulegało wątpliwości, że chodziło o Nazarejczyka, a cały gniew ludu obije się o niego, o Piłata. Ale czas było jeszcze temu zapobiec. Wydał rozkaz i pałac niemal natychmiast otoczony został zbrojnym pierścieniem legjonu. Straż przyboczna porwała za rózgi, rzemienie i proce, a także konna gwardja zabrała stanowiska w pobliżu.

Front pałacu stanowił wysoki portyk i aby tam się wedrzeć, trzeba było mieć drabiny, gdyż schody tamże wiodące, obsadzone szczelnie strażą, gwarantowały bezpieczeństwo przeciw wdarciu. Na środku tego portyku stanął Poncjus Pilatus z założonemi na piersiach rękoma i patrzał spokojnie w tłum. Przynajmniej dobrze ten spokój markował. A tłum się zbliżał, coraz bardziej wrzeszczący, napierający i groźny. Toczył się jak lawina wchłaniając w siebie nowe jednostki, nowe gromadki rosnące w potęgę, którą Poncjus oceniał dobrze.

Legjon rozlokowany u stóp portyku wdarł się w tłum, robiąc przejście dla konwojujących Nazarejczyka, a ile przytem było zmagania się z tłumem i kaleczących razów, zliczyć niepodobna. Ale Nazarejczyk cało przeszedł po stopniach portyku, poczem natychmiast zamknął się za nim łańcuch straży.

Z wysokości portyku był więzień dobrze widziany dla całego tłumu. Poruszenie w tej kipiącej masie stało się jak orkan gwałtowne i jeden wrzask się podniósł: Ukrzyżuj go!

Teraz już Poncjus Pilatus wiedział, że się nie myli i co się święci. Spojrzał groźnie po tłumie: Te dwa wyrazy przebiegały jak prąd przez wszystek lud od stóp portyku i ginęły hen na stopniach świątyni. Był to grom, a nie krzyk. Był to ryk rozbestwienia, a nie wołanie o sprawiedliwość. Skąd się wzięło tyle nienawiści w ten dzień, tyle zezwierzęcenia, trudno było pojąć.

Ale Poncjus słyszał wyraźnie, że lud żąda ukrzyżowania tego oto Nazarejczyka, o zapadłych oczach, a którego on chciał salwować. Przed godziną doniósł o tem Górnej Galileji, a oto: rozruchy! Myślał, że to koniec awantury, a to początek dopiero jej groźnych zarysów. Żydzi nie puszczą swej ofiary, jest to rzecz widoczna i w tej chwili całkowicie zrozumiała, niemniej postanowił opierać się tej burzy sposobami na jakie go stać było. Podniósł rękę do góry na znak, że chce mówić, a potem wprost ryknął:

— Ukrzyżować? Nie mam za co! Takiej winy mu nie udowodniono!

— Udowodniono! — wrzasnął tłum. — Święty Sanhedryn dowiódł i skazał, ty go ukrzyżuj! Ukrzyżuj go!!

— Ludu! — ryczał dalej Piłat. — Ja Poncjus Pilatus, wasz namiestnik z ramienia imperatora Rzymu, oświadczam, że przeciw sprawiedliwości działać nie mogę! Oszukano cię ludu! Nie pragnij krwi niewinnego! Osądzonego w nocy bez mojej wiedzy i udziału! Taki sąd jest zbrodniczy, a nie jest sprawiedliwy!!

Z pleców środka tłumu utworzyła się trybuna, na którą wylazł Amoraim i ryknął:

— Poncjus Pilatus kłamie! Poncjus Pilatus popiera zbrodnię! Wie on dobrze, że sąd był formalny, a wyrok sprawiedliwy! Poncjus Pilatus jest przeciw prawu! Jest wrogiem Sjonu!!

— Ja chcę tylko sprawiedliwego wymiaru przeciw nadużyciu! Ten człowiek jest niewinny! — wielkim głosem wołał Piłat.

— Nieprawda! — wrzeszczał Amoraim z ludzkiej trybuny. — To zbrodzień i rewolucjonista godzący w bezpieczeństwo ludu!

— Ukrzyżować go! Ukrzyżować! — ryczał tłum.

A Poncjus Pilatus, począł ścierać z oblicza pot strugą płynący i sapać z gorąca.

— Tedy przesłucham go! Jeśli wykaże należytą winę, ukarzę jak należy! Poncjus Pilatus wam to zapewnia i przyrzeka! Wprowadzono Nazarejczyka w

głąb urzędu, a za nim podążył Piłat zmęczony już wielce. Przeszedł się parę razy po komnacie, ciągle pot ocierając, poczem spojrzał na więźnia.

Noc w strasznej jamie zrobiła swoje. Miał zapadłe policzki i oczy, twarz zabrudzoną i pokrytą guzami od upadku, włosy zwichrzone, splątane i jakby zalepione, nogi w stawach zesztywniałe prawie, ale mimo to, w zapadłych oczach była spokojna rezygnacja, która każdego sędziego zmusza do obrony. Na ustach krążył uśmiech łagodnej dobroci, co wielce zdziwiło Piłata.

— Jakto, ty się śmiejesz?! W takiej chwili i w takiej opresji?!

— Znalazłem duszę — odrzekł Nazarejczyk.

— A jakoże tobie jakaś dusza po głowie chodzi w niebezpieczeństwie, szaleńcze?! — mocno zdziwiony zapytał Poncjus.

— Niebezpieczeństwo o ciało jest znikome. Nie było w stadzie owieczki prawdziwej aż tu ją znalazłem Poncjuszu i cieszę się wielce — odparł więzień.

— Niezrozumiałe rzeczy pleciesz! Wieszże, co to śmierć na krzyżu?!

— Bez woli Ojca mego, nie umiera się na krzyżu, ale przeciw tej woli, próżny twój wysiłek.

— Nie znam twego ojca! Tu o ciebie chodzi: Uciekaj! Przejdziesz przez ogrody, dam polecenie i wywiodą cię we władztwo Górnej Galileji i ocalejesz!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wojtek kłusownik.

Nad cichą, ubogą wioską roztoczyła noc swe czarne skrzydła.

Na aksamicie nieba zabłysły miljardy gwiazd srebrnych, jakoby niezliczone hufce niebieskie, na czele których stanął uśmiechnięty a ufny zwycięstwa pyzaty księżyc.

Wieś spała, jeno w chacie Marysi wre życie, słychać tony skrzypiec i basów, przeplatane od czasu do czasu wesołym krakowiakiem drużbów lub druhen. Bartek, znany figlarz, zaśpiewał swojego układu piosnkę:

Uwozaj ta nie hulaj ta
Zadkiem pieca nie trącaj ta,
Bo jak będzieta trącali
To Symkowi piec się zwali...

Bo też to dziś Szymon wydaje ostatnią córkę zamąż, więc weselisko jest sute. Ludzi moc, stoły zastawione jadłem i piciem. Muzyka gra ogniście, a od tańca i przytupywania aż drży chałupa w posadach. Jantek drużba rozpiął kaftan pod szyją, rzucił czapkę z pawiemi piórami w kąt izby, pochwycił Hankę wpół i wybija w takt muzyki podkówkami, aże iskry lecą z podłogi.

Starsi, siedząc za stołem popijają, drwinkują i żartują na temat młodych, wspominając, że i oni kiedyś tak, a może jeszcze ogniściej zabawiali się na weselach.

Stach, pan młody, ujawszy ubóstwianą Marysię, żonę swoją za szyję, wyszedł z nią do sadu dla ochłody.

Kiedy stanęli w sadzie, szeptać jej zaczął: Takim Maryś dziś szczęśliwy przy tobie, szkoda tylko, że ta noc nasza najpiękniejsza już wkrótce przeminie...

Ale kochanie nasze nie przeminie, odrzekła Marysia, tuląc się miłośnie do jego piersi. Poczem usta ich złączyły się w długi, serdeczny a pełny upojenia miłosnego pocałunek.

Byli sami; sami, jeno z tą głęboką miłością, jaką ku sobie żywili... Snuli tysiące planów na przyszłość, która się do nich uśmiechała tysiącem promieni i barw bujnych łąk i łanów złocistych, które Maryś od ojca dostała na wiano.

Byli sami w sadzie... ale z poza płotu śledził ich każdy ruch, każde westnienie konkurent Marysi, którego ojciec jej „odprawił" zniczem, kiedy oświadczyć się chciał o rękę córki.

Słusznie też miał Szymon. Wojtek patrzał jeno lekkiego chleba; nocami wybierał się w las, by tam złodziejskim sposobem ustrzelić jaknajwięcej zwierzyny, którą potem sprzedawał żydowi w pobliskiem miasteczku, a za uzyskane pieniądze pił w karczmie do rana. Żandarmi nadaremnie trudzili się, aby ująć niebezpiecznego kłusownika, a on sobie z nich kpił i robił swoje.

Odmowa Szymona tak podrażniła Wojtka, że poprzysiągł zemstę jego córce i temu, ktoby śmiał kiedykolwiek sięgnąć po rękę Marysi...



Toteż dziś ukryty za płotem wyczekiwał dogodnej chwili, kiedy będzie mógł wypełnić przyrzeczenie... I kiedy Stach pieszcząc swą ukochaną żonę marzył o szczęściu przyszłem, a w dali grała mu muzyka i śpiewka swawolna leciała po sadzie, padł strzał, raniąc lekko w lewe ramię Stacha. Przerażona Marysia rzuciła się do ucieczki, ciągnąc za sobą rannego. Na odgłos strzału wybiegli goście przed chatę, a dowiedziawszy się co zaszło, kilku odważniejszych rzuciło się w pogoń za sprawcą, którego też niebawem ujęto. Silnie związanego przytrzymano tymczasem w gminnym areszcie.

Po chwilowej konsternacji zabawa szła dalej, tańczono i bawiono się do woli, nawet Stach z Marysią hulał i śpiewał do samego rana.

Rano poprowadziło dwóch żandarmów skutego Wojtka do miasta, aby tam odpokutował za swoje winy.

Robert Rydz.

Odwaga dziecięcia.

Było to w zaraniu mej pierwszej młodości.

Byłem wtedy jeszcze małym chłopakiem, mogącym mieć 7 do 8 lat życia.

Rodzice moi mieszkali na wsi.

Chata nasza stała tuż obok młyna, w którym ojciec mój zajęty był w roli młynarza.

— — — — — — — — — — — — — — —

Była może godzina 11-ta w nocy.

Pogrążony byłem w śnie jeszcze, gdy usłyszałem jakiś łoskot i szum złowrogi, dochodzące ze dworu.

Łoskot z każdą chwilą stawał się donioślejszym. W jednej chwili zerwałem się na równe nogi i naprędce zarzuciłem na siebie odzienie.

Zaglądnąłem przez okno wychodzące w stronę rzeki.

Nieprzenikniona ciemność zawisła nieruchomo nad ziemią w powietrzu, widziałem tylko duże krople deszczu spadającego z łoskotem na ziemię.

Deszcz padał ustawicznie, z odgłosem uderzały krople jego o szyby okien naszego domostwa.

Poziom wody podnosił się coraz wyżej. Niebezpieczeństwo było groźne, zalew wody mógł grozić katastrofą, w którejby szpony również dostała się i nasza chata, tembardziej, na pierwszym planie stojąca, tuż przed jej pierwszym pędem.

Nie było chwili do stracenia.

Postanowiłem obudzić matkę — ojca nie było, gdyż przez noc zajęty był w młynie.

Zbliżyłem się do drugiego łóżka, na którem sypiała matka.

Było ono puste.

Nie namyślałem się prędko: wybiegłem z izby i stanąłem na progu.

Spojrzałem w górę.

Całe niebo jak wzrokiem objąć zasłane było czarnemi chmurami. Deszcz wzmagał się coraz wiecej.

Wzrok swój skierowałem na rzekę. Coś niesamowitego działo się na niej.

Fale spiętrzone bałwanami nie mając oparcia, uderzały na siebie z gwałtownością, rozpryskując się na wszystkie strony.

Młyn znajdował się w pobliżu, odległość jego od chaty naszej wynosiła zaledwie kilkadziesiąt kroków; w przeciągu kilku minut można było przebiec tę przestrzeń szybkim biegiem.

Znajdowałem się pod obuchem niepewności. A nuż mię powali zamieć deszczowa — pomyślałem, — wówczas zginąłbym niechybnie.

Błyskawica z chmur ciemnych wystrzeliła, rozdarła powietrze i z głośnym poświstem wiatru zderzyła się z lądem. Równocześnie dał się uczuć odgłos spadającego piorunu...

Wszedłem napowrót do chaty. Burza rozpaczy szalała w mem sercu. Sam jeden pośród pustego domu, zdany na łaskę i niełaskę losu.

Mniej o mnie, ale o rodziców bardziej mi się rozchodziło. Sami jedni znajdowali się w młynie.

Wzrok mój zetknął się z kluczem leżącym na stole. Fala świeżej krwi napłynęła mi do twarzy.

— Boże mój! Boże! — wyjęknąłem z rozpaczą. — Zginą niechybnie, gdy ich nie ocalę.

Klucz przypomniał mi straszną rzeczywistość: wszakże nim zamknąłem wczoraj młyn na zewnątrz. Takie było życzenie ojca. Niebezpieczeństwo było zrozumiałe: o ile ich nie oswobodzę, zginą, znajdując swój grób w ruinach młyna. Byłem bliski omdlenia.

Wizje strasznych widziadeł stanęły mi przed oczyma: widziałem jakieś straszne twarze wybladłe, ze wzrokiem krwiożerczym, wyciągały ku mnie swe kościste dłonie, by mię pochwycić, dostać w moc swoją...

Cofnąłem się o kilka kroków.

Na dworze istne piekło. Burza przemieniła się w żywiołowy huragan, błyskawice co chwila rozświecały ciemności, piorun za piorunem godził w ziemię. Szyby dźwięczały od silnych uderzeń dżdżu, wiatr jęczał przeraźliwie, o ścianę domostwa uderzały jakieś ciężary niesione wiatrem i wydawały łoskot do trzęsienia ziemi podobny.

— Boże! Boże! — szeptały usta moje konwulsyjnie. — Odwróć od nas tę karę-plagę od rodu ludzkiego.

W młodzieńczej mej wyobraźni przesunęło się kilka obrazów wyjętych z scen podobnych.

Padłem na kolana przed obrazem ukrzyżowanego Zbawiciela i gorąco począłem się modlić. Usta z niestrudzoną gorliwością szeptały zwroty modlitwy Pańskiej. Całem dziecięcem jestestwem mej duszy oddałem się Ojcu Niebieskiemu. Prosiłem Go, by oddalił od nas tę plagę, by mi udzielił moc odwagi na poskromienie grożącego niebezpieczeństwa. Powstałem z klęczek.

Duch ożywczy wstąpił we mnie, napełnił mą duszę zasobem hartu, męstwa i odwagi.

Myśl uratowania rodziców nie schodziła mi z głowy. Muszę za wszelką cenę uratować ich od niechybnej śmierci. Czas najwyższy pospieszyć do nich.

Machinalnie pochwyciłem klucz do ręki, wybiegłem z chaty i skierowałem swe kroki w stronę młyna.

Tuman kurzawy uderzył mie w twarz, odczułem ten policzek boleśnie. Nie zważałem jednak na nic i spieszyłem dalej.

Żywioł rozszalał do granic ostatnich. Drzewa trzeszczały i uginały się pod wpływem wiatru-olbrzyma, stan wody podnosił się z przerażającą szybkością.

Prawdziwy sądny dzień nastał!

Uszedłem zaledwie kilkanaście kroków, gdy wiatr silnie zadął, z tyłu uczułem jakieś uderzenie. To odłamek drzewa uderzył mię w plecy.

Uczułem silny ból, zachwiałem się na nogach i runąłem na ziemię.

Zaskowyczał straszliwie wiatr nad biednem dziecięciem...

Przez kilka minut leżałem bez przytomności. Od strony wsi dobiegły jakieś krzyki, z pośród których wyróżniałem wołania o pomoc.

A tam, w oddaleniu o kilkanaście kroków majaczy zbawienie — młyn, a w nim rodzice moi. — Jeżeli na czas nie przybędę, zginą niechybnie.

Młyn każdej chwili runąć może pod wpływem strasznego huraganu, wody coraz głębiej podmulały jego spodni fundament.

Wiatr zaskowyczał przeraźliwie.

Zginą, jeżeli ich nie ocalę.

Zerwałem się i pchany nadziemską mocą naprzód bez czucia na wszystko, co mnie otaczało, leciałem z zamkniętemi oczyma, ustami szepcząc zwroty modlitwy Pańskiej.

— Ale nas zbaw ode złego... — wyszeptałem zbladłemi usty... stanąłem.

Znajdowałem się przed drzwiami młyna.

Byłem u celu.

— Amen — wyszeptałem jeszcze raz, przekręciłem klucz mdlejącemi rękoma i z nadludzką siłą

pchnąłem drzwi. Rozwarły się one na oścież i razem z tumanem wiatru wpadłem do środka.

Miałem na tyle przytomności, że zamknąłem drzwi za sobą. Z bocznej kantyny ozwały się radosne głosy.

Z piersi mych wydarła się modlitwa dziękczynna.

Uratowałem siebie i rodziców!

Franciszek Lewandowski.



Poradnik gospodarczy.

Ziemniaki chore na raka mają na kłębach i na podziemnych częściach łodyg i rozłogów narośla, które z początku powstają jako małe białawe brodawki na młodych bulwkach, później zaś na oczkach kłębów i na pączkach łodyg i rozłogów.

Brodawki te z czasem robią się brunatne, powiększają się, a powierzchnia ich staje się nierówną, chropowatą, wreszcie wyrastają w kształcie wielkich gąbczastych narośli, pokrywających kłęby. Korzenie ziemniaków nie podlegają chorobie. Narośle wyrastają czasem na łodygach podziemnych zamiast bulw, jakoteż na pączkach liściowych do czasu, kiedy one znajdują się pod ziemią. Gdy łodygi takie wyrosną nad ziemią, mają one zamiast liści gąbczaste utwory rakowate, zielonawego koloru. Zwykle jednak na częściach nadziemnych nie widać żadnych zmian, któreby mówiły o chorobie raka, dlatego to tylko w wyjątkowych razach daje się odróżnić porażone pole od zdrowego. Skutek porażenia widoczny się staje zwykle dopiero podczas kopania, pod krzakami ziemniaków można znaleść wtedy zamiast zdrowych bulw — gnijące masy rakowate.

Chorobę raka ziemniaczanego powoduje niedostrzegalny gołem okiem grzybek, którego tak zwane przetrwalniki znajdują się w wielkiej ilości w naroślach. Ziemniaki rakowate łatwo pod ziemią gniją, a przetrwalniki grzybka dostają się do ziemi, w której zimują, mają one taką siłę, że mogą przetrwać 12 lat i dłużej. Dlatego to klęska, jaką powoduje rak ziemniaczany nie kończy się na jednym roku. Jeśli na polu raz zarażonem wysadzić choćby po kilku, lub więcej latach znowu ziemniaki, to będą one jeszcze silniej porażone, niż za pierwszym razem.

Skutki choroby raka ziemniaczanego są niezwykle groźne nietylko dla gospodarstwa, gdzie rak się pojawił, ale i dla całej okolicy.

Rak ziemniaczany przenosi się z jednego miejsca na drugie, przedewszystkiem za pośrednictwem porażonych kłębów, a także i zdrowych, które wyrosły na porażonem polu, przylegające bowiem do kłębów grudki ziemi mogą zawierać grzybek. Zaraza przenosi się na sąsiednie i na dalsze pola z ziemią, przylegającą do narzędzi gospodarskich, do kół, kopyt i racic, do obuwia i t. p. Roznosicielami raka ziemniaczanego mogą być zwierzęta gospodarskie i drób, gdyż przetrwalniki nie tracą swej żywotności przechodząc przez przewód trawienny i z obornikiem dostają się na zdrową glebę. Wreszcie rozszerza zarazę deszcz i wiatr, przenosząc razem z pyłem ziemnym zarazki.

Straszna ta choroba nietylko jest dlatego groźną, że obniża, lub niszczy zupełnie plony ziemniaków, ale i dlatego, że zagraniczne kraje utrudniają, a nawet uniemożliwiają dowóz ziemniaków z państw, z których istnieje rak ziemniaczany. I tak, naprzykład ostatnio Rumuńskie Ministerstwo Rolnictwa zawiadomiło o wydanem zarządzeniu ograniczającem przywóz ziemniaków pochodzących z krajów, gdzie panuje zaraza raka ziemniaczanego. Do krajów tych zaliczono i Polskę, gdzie choroba ta zawleczoną została z Niemiec, mianowicie do naszych dzielnic zachodnich i coraz bardziej się rozszerza. W województwie śląskim w roku zeszłym stwierdzono raka ziemniaczanego w tysiącu przeszło gospodarstw.

Walka z rakiem ziemniaczanym jest bardzo ciężką, idzie ona w kierunku umiejscowienia choroby, powstrzymując jej dalsze rozszerzenie, a następnie niszczenia grzybka u jego ogniska, wreszcie w kierunku uprawiania odmian ziemniaków, które okazały się odpornemi na zarazę raka ziemniaczanego. Odmian takich jest dość dużo, znane i rozpowszechnione u nas są odmiany Parnasia Karnekego, Heidenburg Karnekego i Jubel Richtera.

Aby chronić rolnictwo nasze przed tą nową klęską, rząd nasz ustanowił obowiązek zwalczania raka ziemniaczanego, ogłaszając w „Dzienniku Ustaw" rozporządzenie „O zwalczaniu raka ziemniaczanego". Ważniejsze ustępy powyższego rozporządzenia przedstawiają się, jak następuje:

Osoby użytkujące grunty, lub zarządzające niemi, a także przechowujące ziemniaki, mają obowiązek zgłoszenia zarządowi właściwej gminy każdego wypadku wystąpienia objawów, wzbudzających podejrzenie pojawienia się raka ziemniaczanego.

Ziemniaków zebranych z gruntu zarażonego rakiem ziemniaczanym nie wolno używać do sadzenia, na pokarm zaś i paszę wolno je używać jedynie po ugotowaniu lub uparowaniu. Wszelkie odpadki winny być spalone lub zakopane.

Z obszaru, którego granice oznaczy szczegółowo właściwy wojewoda (komisarz rządowy) nie wolno wynosić (wywozić) ziemniaków, wszelkich odpadków ziemniaków, a także chwastów, ziemi i obornika. Na gruntach zarażonych rakiem ziemniaczanym nie wolno uprawiać ziemniaków oraz wszelkich innych roślin okopowych.

Składy i piwnice, w których znajdowały się ziemniaki dotknięte rakiem ziemniaczanym, winny być niezwłocznie po usunięciu ziemniaków odkażone.

W wypadkach niewykonania przez osoby do tego obowiązane, czynności, wynikających z rozporządzenia lub zarządzeń na jego podstawie wydanych, właściwy starosta może zarządzić wykonanie tych czynności na koszt tych osób.

Władza powołana do zwalczania raka ziemniaczanego oraz przedstawiciele ochrony roślin mają prawo:

1) Wstępu na grunty podejrzane o zarazie oraz do wszelkich pomieszczeń przechowania, przerobu o sprzedaży ziemniaków.

2) Badania ziemniaków na gruncie i na wskazanych wyżej pomieszczeniach.

3) Bezpłatnego brania próbek ziemniaków w ilości nie przekraczającej 1 klg.

4) Żądania potrzebnych informacyj osób, w których posiadaniu znajdują się grunty.

5) Kontroli wszelkich prac, związanych z oczyszczeniem ziemniaków, gruntów, pomieszczeń i urządzeń, a także prac związanych z przerobem ziemniaków.

Nakoniec powiedziane jest w rozporządzeniu, że ziemniaki i ich odpadki, chwasty, ziemia i nawozy naturalne skonfiskowane za bezprawne wynoszenie (wywożenie) z gospodarstwa, o ile nie mają być zniszczone, winny być przez starostę sprzedane.

Jak widzimy z powyższego, nowe rozporządzenie jest ostre i takiem powinno być, gdyż walka z rakiem ziemniaczanym musi być bezwzględną.



Na cierniowej życia drodze!

„Maryśce z Kamionki" w dowód wdzięczności, za Jej śliczne artykuły w „Roli" poświęcam.

Najpopularniejszą szkołą człowieka każdego, to jest własne jego życie! Każdy człowiek ma w swojem życiu chwile, wesołe i smutne, radosne i bolesne! Niestety, tych ostatnich, jest bardzo dużo. — I one to właśnie, są tą szkołą życiową, która uczy i to nie byle jak! Lecz uczy twardo, uczy bez miłosierdzia, bez pardonu! Od wczesnej młodości, aż do grobowej deski! A ludzie? — Jak w każdej szkole, są uczniе zdolni i nie zdolni, źli i dobrzy, tak i w szkole życia. Jedni pojmują to życie, chwytają w ręce czyn, idą naprzód przebojem, stają się szlachetnymi i użytecznymi członkami społeczeństwa i narodu! Drudzy natomiast nie pojmując tej twardej nauki życia, łamią się i padają pod ciosem doświadczeń i zawodów, stają się zmarnowanymi, nieużytecznymi dla życia, szkodnikami nawet sobie samym, chwastem i wyrzutkami społeczeństwa! — Trzy są rzeczy na świecie, które każdy człowiek mieć pragnie i które koniecznie do szczęścia na tem świecie człowiekowi są potrzebne (a które mało kiedy chodzą razem) to jest, zdrowie, uroda i majątek! — A czy każdy, kto te trzy przymioty posiada już jest szczęśliwy? W rzeczywistości powinno być tak! A jeżeli tak nie jest, to jest wina jego samego, że takich wielkich darów Bożych, nie umie używać na szczęście swoje i swojego otoczenia!

A ileż ludzi biednych, chromych fizycznie, znosi z cheroizmem swoje upośledzenie i jeszcze pomimo bólu przeogromnego, który daje świadomość nigdy niedoścignionego szczęścia zdrowych członków ciała lub urody, krzepi serca drugich i uszlachetnia! — Życie bez miłości nie jest życiem, raczej jest męką! A czy może człowiek bez owych warunków jakimi są zdrowie, uroda i majątek, chociaż marzyć o wzajemnej miłości?! Jeżeli człowiek taki nie złamie się pod ciężarem życia, jest bohaterem, jest godzien pełnego szacunku czci i poważania! — O jak twardą jest szkoła życia, jak bolesne są nauki zdobyte doświadczeniem, i jak cierniowa jest droga żywota, wie z pewnością prawie każdy. Gdyż nawet ci, którzy mają wszystkie warunki szczęścia, to jest ten nieoceniony skarb — zdrowie, urodę — i majątek. — Nawet ci powiadam, mają ciernie na drodze żywota swojego! A cóż dopiero ci, którym brakuje jednego z nich, albo wszystkich razem! O zaiste życie jest szkołą, która zrodziła wszystkie inne szkoły świata. A ludziom cześć tym, którzy wynoszą z tej szkoły życia nauki i wprowadzają w czyn. — Ludziom nauki, pracy i czynu Cześć!

Szczepan Orzech.

KRONIKA.

Przepowiednie na czerwiec. Znany wiedeński meteorolog, Adolf Brieskorn, zestawia na miesiąc czerwiec następującą prognozę: Czerwiec 1928 nie będzie zbyt pięknym miesiącem. Dużo deszczów, lokalne gwałtowne burze, nie wiele słońca, przeciętnie temperatura niska. Prawdopodobne są katastrofy atmosferyczne i żywiołowe. Miejscami grożą powodzie. Szczególnie zaburzenia atmosfery zagrażają koło 12, 17 i 29 czerwca. Pierwsze dni czerwca mają być ładne, ale następnie będą bardzo niskie nocne temperatury. W miejscowościach niżej położonych nie wykluczone nocne przymrozki. Około 8 czerwca ponowne zachmurzenie, chłody, wiatry i deszcze. Potem stopniowo atmosfera się ociepla, około 17-go większe zaburzenia atmosferyczne. Następnie pogoda zmienna, dnie cieplejsze z lokalnemi zaburzeniami, noce chłodne, szczególnie koło 23 go. Znowu krótka poprawa ze skłonnością do burz i z okresem niepogody wraz z silniejszym spadkiem temperatury około 29 czerwca.

Oberwanie się chmury. W ubiegłym tygodniu w powiecie rzeszowskim nastąpiło oberwanie się chmury. Nastąpiła tam taka gwałtowna półgodzinna ulewa, że formalnie zalewała pola. Toteż zniszczeniu uległy wszystkie mosty i kładki na obszarze wsi: Jawornik polski, Dylągówka i Radło szklarskie. Woda podmyła liczne domy i zupełnie zniszczyła ogrody, a nadto spływając zalała pola w sąsiednich wsiach. Na szczęście w ludziach nie było żadnych ofiar. Szkody przypuszczalnie wynoszą około stu tysięcy złotych.

Potrójne nieszczęście. We wsi Rogów w Małopolsce pewien gospodarz ciężką pracą całego życia dorobił się pokaźnego majątku, w samej gotówce posiadając około 80 tysięcy złotych. Pieniędzy tych wbrew zdrowemu rozsądkowi, nie złożył do Pocztowej Kasy Oszczędności, gdzie leżałyby bezpiecznie i przynosiły niezły procent. Nikt, prócz jego żony, nie wiedział, gdzie ukrywa swoją krwawicę. Dnia pewnego wybrał się nasz gospodarz z żoną do miasta, celem zakupienia wirówki do mleka, W domu pozostali sami dwaj synowie — 10 i 7-letni. Przyszło im do głowy przenieść się z zimowej połowy domu do letniej, a że wiosna w tym roku bardzo chłodna, napalili w piecu, w którym ogień nie płonął od ubiegłej jesieni. Wrócił gospodarz z wirówką do domu, patrzy — dzieci śpią w letniej połowie. Coś go tknęło — skoczył do pieca — gorący! Wyrwał drzwiczki, patrzy, a tu popiół i żużle, jedyny ślad po pieniądzach, które w tym letnim piecu przechowywał. Rozwścieczony stratą dorobku całego życia rzucił się z kijem na nieświadomych sprawców nieszczęścia. Uderzony w czoło starszy syn padł trupem na miejscu — młodszy zdołał zbiedz z izby. Na widok sztywniejących zwłok swego dziecka nieszczęsny ojciec stracił głowę do reszty, zamknął się w stodole i powiesił się na sznurze.

„Zatruty" las. Warszawski „Nasz Przegląd" donosi z Łodzi, że wielkie poruszenie i zaniepokojenie wywołały tam pogłoski o tem, iż las w pobliskiem letnisku Wiszniowa Góra jest „zatruty". Opowiadają mianowicie, że w lesie tym na drzewach rosną jakieś tajemnicze grzyby, które zarażają przebywających w lesie straszliwą chorobą-rakiem. Lekarze oświadczają zgodnie że pogłoski te są zupełnie niedorzeczne. Mimoto panika nie ustaje i letnicy masowo opuszczają letnisko, w którem — wedle owych pogłosek — nabawić się można tak strasznej choroby. W sprawie tej zwrócono się do władz wojewódzkich i starostwa o przeprowadzenie najściślejszych badań.

Dziecko o dwóch głowach. W Wołominie pod Warszawą zdarzył się niezwykły w kronikach lekarskich fakt narodzenia się dziecka z dwiema głowami. Dziecko to przyszło na świat w domu małżonków Wojciechowskich i żyło zaledwie trzy godziny. Było to niemowlę płci męskiej. Obok głowy normalnej noworodek miał drugą głowę, wyrastającą jakby z łopatki, obie były podobne do siebie, jednakowo rozwinięte i owłosione. Lekarze poczynili zabiegi w celu zabezpieczenia zwłok noworodka przed rozkładem, a Uniwersytet warszawski rozpoczął z rodzicami rokowania o przekazanie tego niezwykłego dziwu natury dla zbiorów uniwersyteckich. Wojciechowski jest dozorcą jednej z fabryk i ojcem jednego dziecka, które urodziło się zupełnie normalne.

Na tropie wielkiej szajki włamywaczy. Z Warszawy donoszą: Władze bezpieczeństwa wpadły na trop niebezpiecznej bandy włamywaczy, która w końcu lutego b. r. dokonała włamania do urzędu pocztowego w Radomiu i po rozbiciu kasy, zrabowała 120.000 złotych a w kilka tygodni później w urzędzie pocztowym w Przemyślu przeszło 100.000 zł. Policja ustaliła, iż banda miała siedzibę swoją w Warszawie, a herszten jej był Stefan Zakrzewski, zamieszkały w Warszawie przy ul. Żurawiej 5. Kasiarze, po dokonaniu kradzieży wyemigrowali z Polski. Celem wywiedzenia się o ich miejscu pobytu, policja aresztowała ich żony, przyczem żona herszta, 20-letnia Natalja Zakrzewska, zeznała, iż mąż jej wyemigrował na Kubę, pozostawiając jej kilkanaście tysięcy złotych. Sumę tę zatrzymano. Zakrzewską wraz z innemi żonami kasiarzy przewieziono z Warszawy do Radomia, gdzie osadzono je w więzieniu i oddano do dyspozycji sędziego śledczego. Za zbiegłymi kasiarzami rozesłano listy gończe.

Hygjena na wsi. „Zanim umrę, w każdym domu w Polsce będzie ustęp i śmietnik" — powiedział p. minister spraw wewnętrznych Składkowski w komisji budżetowej. W Warszawie powstała na ten temat następująca anegdotka: Przybywszy na inspekcję do pewnego powiatu na kresach wschodnich, p. minister Składkowski z uznaniem przyjął raport starosty, że dzięki skutecznej propagandzie w każdej wsi powiatu wójt zbudował okazały ustęp. Zainteresowany tem p. minister zapragnął obejrzeć to dzieło i wyruszył na objazd powiatu. W pierwszej zaraz wsi p. minister wstąpił wraz ze starostą do domu wójta.

— A jakże tam, panie wójcie — pyta wójta — macie ustęp?

— A zbudowałem go, proszę łaski pana ministra — odpowiada wójt.

— To ładnie — mówi minister — chodźmy więc zobaczyć.

Wójt poszukał klucza i zaprowadził dostojnych gości za chałupę, z dumą wskazując świeżo tam wzniesioną dyskretną ubikację. Drzwi jej były zamknięte na klucz. Nie bez trudu otworzył je wójt, prosząc gości do środka.

— Czystość naprawdę wzorowa — rzekł z uznaniem p. minister; po chwili jednak odwrócił się zdumiony, pytając:

— Jakto, więc kiedy właściwie zbudowaliście ten ustęp, panie wójcie?

— Kiedy? Będzie już ze trzy miesiące temu.

— Trzy miesiące? Ależ przecież nikt go jeszcze nie używał!

— Pewnie, że nie — odpowiada wójt — a pocóż go zapaskudzać. Wstyd byłoby przecie pokazać p. ministrowi zapaskudzony.

Olbrzymia powódź na Śląsku. Gwałtowne deszcze, padające bez przerwy na Śląsku niemieckim spowodowały wylew wszystkich rzek górskich, w dolinach położonych w pobliżu Gór Olbrzymich. Najbardziej dotknięte klęską powodzi są tereny w okręgu Reichenbach i Schweidnitz. Pomiędzy temi dwiema miejscowościami rozlały wody na przestrzeni długiej na 15 klm., a szerokiej na kilka kilometrów. Położone w tym pasie wioski stoją pod wodą. Komunikacja odbywa się tylko przy pomocy łodzi. Pierwsze sianozbiory są całkowicie zniszczone. Pola ziemniaków zalane. Najdotkliwiej skutkiem wylewu ucierpiała wieś Grunau w okręgu Schweidnitz. W niżej położonych dzielnicach Reichenbach i Schweidnitz uszkodzone zostały poważnie liczne domy przez wezbrane wody, które niosły z sobą całe wielkie drzewa. W Górach Olbrzymich po niemieckiej stronie szkody są mniejsze, natomiast na terenie czeskim nawiedzone zostały różne wioski górskie, przedewszystkiem Anpatale. Drogi są zalane, mosty pozrywane. W pobliżu Wrocławia przerwaną została tama w miejscu ujścia Weistritz do Odry. Dopiero po 5-godzinnej pracy udało się opanować wezbrane wody. W innem znów miejscu w pobliżu Wrocławia woda zerwała słupy telegraficzne: powstał pożar, którego ugaszenie było przez to utrudnione, iż straż pożarna mogła przy pomocy łodzi dopiero dotrzeć, na miejsce wypadku.

Oryginalne stowarzyszenie. W Niemczech, w Hanowerze powstało stowarzyszenie o istnieniu jakiego nigdy jeszcze nie wspominały kroniki świata. Grupuje ono w swem łonie „byłych aresztantów więzień i domów poprawczych", którzy się zrzeszyli celem wzajemnego popierania się. Ukonstytuowane jest na wzór wszystkich stowarzyszeń i posiada własny zarząd oraz prezesa. Ten ostatni właśnie musiał ustąpić z zajmowanego przezeń stanowiska i przekazać je komu innemu. Cieszący się ogólnym szacunkiem i poważaniem pan prezes usunął sie w cień nie tyle z własnej woli ile że zmuszony został do tego okolicznością przyłapania go na gorącym uczynku dobierania się do kasy ogniotrwałej. Obecnie urzęduje w więzieniu w Dortmundzie.

Spalenie „czarownicy". Pisma donoszą o prawie nieprawdopodobnem zdarzeniu, którego widownią była w tych dniach wieś Klein Krummnussbaum w Austrji dolnej. Krowy jednego z gospodarzy tamtejszych zaczęły chorować i przestały dawać mleko. Wobec tego kumoszki wiejskie orzekły, że nie ulega wątpliwości, iż jakaś czarownica rzuciła urok na krowy, zaczęto więc jej szukać. Nagle żona zmartwionego gospodarza znalazła w kącie obory ogromną ropuchę. Zwołała tedy na naradę sąsiadki i wszystkie zgodziły się na to, że w ropuchę tę, rzeczywiście niezwykłej wielkości, zamieniła się czarownica, aby uniknąć pościgu i że należy czarownicę spalić publicznie. Wzniesiono zatem przed oborą stos z gałęzi suchych, postawiono przy nim dwie świece płonące, a na stosie umieszczono ropuchę, poczem właściciel krów, trzymając krucyfiks w ręce, okrążył kilkakrotnie stos dokoła, przeklinając czarownicę, a wkońcu stos podpalił. Ku wielkiej radości przyglądającej się temu widowisku gromady „czarownica" spłonęła żywcem. Głupota ludzka jest nieograniczona!

Wypędzenie „czerwonego djabła" z komunistki. W niemieckiej kolonji koło Odessy pewna kolonistka, ulegając agitacji przeciwreligijnej zaprzestała uczęszczać do kościoła i żyła w konkubinacie z pewnym komunistą. Koloniści niemieccy położyli ją związaną na płytę kamienną, poczem 300 kolonistów kolejno deptało ją, bijąc związaną kobietę. Następnie cała wieś uszykowała się we dwa szeregi. Przy biciu dzwonów kościelnych komunistka musiała przejść między temi szeregami, a każdy ze stojących chłostał ją. Krzyczano przytem „precz z czerwonym djablem".

Pogrom żydów na Litwie. W miasteczku Prem na Litwie kowieńskiej dokonano w nocy pierwszego dnia Zielonych Świąt, kiedy cała ludność pogrążoną była we śnie, pogromu żydów. Bandyci litewscy wpadli do domów, wypędzając z nich mężczyzn, kobiety i dzieci. Wszyscy mężczyźni zamknięci zostali w bożnicy, gdzie podano ich torturom, a kobiety zniewolono. Liczba rannych jest bardzo znaczna. Policja zachowywała się bezczynnie. Również interwencja w Kownie nie odniosła skutku. Winnych nie pociągnięto do odpowiedzialności, a przeciwnie, rozpuszczono pogłoskę, że żydzi napadli na maszerujących strzelców litewskich, to jest organizację młodzieży faszystowskiej. Na ulicach Kowna widać było liczne furmanki, na których siedzieli obandażowani żydzi. Byli to zbiegowie z Prem, skąd uciekli w obawie dalszych pogromów.

W poczuciu obowiązku. Gazety francuskie opisują następujące zdarzenie: Na torze pomiędzy Fiers a Doufort odbywał służbę zwrotniczy Andreux. W południe krzyżują się koła jego budki dwa pociągi. W tym też mniej więcej czasie posyłała mu żona przez syna obiad. W dniu tym, jak zwykle biegł chłopak po torze, skacząc z jednego pokładu na drugi. Doszedł już prawie do budki i nagle przewrócił się tak nieszczęśliwie, że nie mógł wstać. Ojciec widząc to, chciał go iść podnieść, gdy w tym momencie rozległ się sygnał, że trzeba przerzucić zwrotnicę, bo nadjeżdża ekspres. Niema czasu do stracenia. Ojciec musi skoczyć i przestawić zwrotnicę, bo inaczej pociąg naładowany pasażerami wpadnie na drugi, jadący w kierunku przeciwnym. Rozumiejąc grozę położenia, bez chwili namysłu rzuca się ojciec w tył, przestawia zwrotnicę i nim zdążył przyskoczyć, wpada pociąg zabijając, mu syna na miejscu.



Pociąg natychmiast zatrzymano. Ojciec Andreux został mianowany kawalerem Legji Honorowej. Prezydent udekorował człowieka, który poświęcił własnego syna, aby uratować życie wielu ludzi. Matka jednak nazywa w okropnym swym bólu nieszczęśliwego ojca mordercą własnego dziecka. Prezydent dekoruje tego, którego serce nieszczęśliwej matki nie może nie potępić.

Pierścień w marchwi. Niejaka pani Rereit, mieszkająca na własnem gospodarstwie w departamencie Finisterre, we Francji, zgubiła przed dwoma laty bardzo cenny pierścionek zaręczynowy, ozdobiony brylantami i rubinami. Choć jednak cały jej dom przeszukano skrzętnie, kosztownej i drogiej pamiątki nie można było znaleźć. Przepadła bez śladu. W tych dniach właścicielka zgubionego pierścienia, skrobiąc marchew, uczuła nagle pod nożem coś twardego, rozciąwszy więc marchew skrobaną, ujrzała zdumiona utkwiony w niej pierścień, który już dawno opłakała! Jak przypuszczają, służąca pani Rereit musiała wyrzucić ten pierścionek razem ze śmieciami do śmietnika, skąd popadł w nawóz ogrodowy i w końcu znalazł się w marchwi, która go obrosła.

Tragedja zaginionego żołnierza. Przed laty jedenastu, gdy szalała w Europie wielka wojna światowa, policjant zatrzymał na ulicach Londynu żołnierza, który zdradzał oznaki pomieszania zmysłów. Nie wiedział ów żołnierz, skąd się dostał, zapomniał jak się nazywa. Obłęd jego był spokojny, lecz tembardziej tragiczny. Zrozumiano, że ma się do czynienia z nieszczęśliwym, który stał się ofiarą wojny. Zamknięto go w szpitalu dla warjatów. Jako nieuleczalnie chory pozostawał tam długie lata. Zarząd szpitala rozesłał jego podobiznę do czasopism angielskich i amerykańskich, atoli nikt się nie zgłaszał, by przyznać się do pokrewieństwa, lub znajomości z tym nieszczęśliwym. Dopiero niedawno temu zgłosiła się w szpitalu, gdzie przebywał ów obłąkany, niejaka pani Mac Quay, która stale mieszka w Stratfordzie w Nowej Zelandji i oświadczyła, co następuje: Dzięki przypadkowi dostał się do jej rąk rocznik jakiegoś starego ilustrowanego czasopisma angielskiego i tam zobaczyła podobiznę żołnierza, którego krewnych poszukują władze wojskowe. Wydaje się jej, że to jej syn, który rzekomo zginął na wojnie i którego śmierci po dziś dzień przeboleć nie może. Przyprowadzono jej owego żołnierza. Tragiczne to było spotkanie. Czy pozna w tym nieszczęśliwym, zmienionym do niepoznania obłąkanym chorym, swojego syna, który jako rześki młodzieniec wyruszył przed jedenastu laty na wojnę?

— Syn mój miał znamię na lewej łopatce. Dużą malinę — rzekła pani Mac Quay.

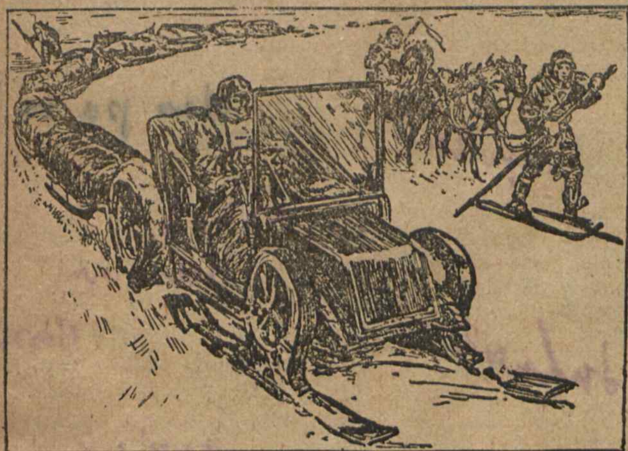
I ten nieszczęśliwy miał to znamię na łopatce. Pani Quay nie wątpiła już w to, że odnalazła zaginionego syna. Zaczęła przemawiać do niego najczulszemi wyrazami. Niestety, nie rozumiał, czego chcą od niego. Był zupełnie apatyczny. Po długich staraniach (władze nie tak łatwo chciały jej wydać ten łachman ciała, choć z jakąż łatwością zabrali jej zdrowego syna na wojnę!) mogła pani Quay zabrać nieszczęśliwego ze szpitala. Zabrała go z sobą do Nowej Zelandji. Ma nadzieję, że w domu, gdzie spędził dzieciństwo, wróci mu pamięć i zamącony umysł rozjaśni się znowu.

Czy spełnią się jej nadzieje? Matką jest i widocznie kocha tego syna nad życie. Może więc ta miłość matczyna sprawi cud i obłąkany żołnierz odzyska zdrowe zmysły.

Samolotem do bieguna. Z końcem maja wyruszył włoski generał Nobile na samolocie „Italia" do bieguna północnego. Wyprawa została uwieńczona powodzeniem, ale w powrotnej drodze musiał generał Nobile wylądować na wyspie Amsterdamskiej, położonej wśród wiecznych lodów. Impreza generała Nobile była siódmą z rzędu ekspedycją, zamierzającą dotrzeć do bieguna północnego w drodze powietrznej. Pierwszym, który powziął plan odbycia podróży powietrznej do bieguna, był szwedzki inżynier Salomon August Andree, który w roku 1895 skonstruował plan odbycia wyprawy do bieguna balonem. Na Szpitzbergu zbudowano wielką halę, gdzie napełniono balon gazem. Musiano jednak zaniechać tego projektu, ponieważ nie było wiatru południowego, bez którego lotnicy nie mogliby dotrzeć do celu. Ujemną stroną tego planu było również to, że załoga balonu popędzanego wiatrem, a pozbawionego steru, nie mogła w razie potrzeby lecieć w kierunku bezpiecznego miejsca lądowania. Toteż wyprawa taka mogła się tylko udać przy niezwykle szczęśliwym zbiegu okoliczności. Jednakowoż gdy w dniu 30 czerwca 1897 zaznaczył się odpowiedni kierunek wiatru, odważny Andree kazał napełnić balon. W dniu 11 lipca wyruszył on na tę ryzy-

kowną wyprawę ze swoimi towarzyszami Fränklem i Strindbergiem. Ci trzej odważni ludzie nie powrócili i dotychczas nie wiadomo, co się z nimi stało. Istnieje przypuszczenie, że zmuszeni do przymusowego lądowania, zostali zabici przez Eskimosów. W r. 1923 znany lotnik szwajcarski Mittelholzer dokonał lotu ponad Spitzbergiem w kierunku bieguna północnego. Uszkodzenie magnesu nie dozwoliło mu na dotarcie do celu. W dwa lata potem wyprawa Amundsena przez szereg tygodni trzymała w naprężeniu ciekawość cywilizowanej ludzkości. Odkrywca bieguna południowego startował 21 maja 1925 r. z dwoma samolotami z Kingsbay, i dostał się w niebezpieczną strefę lodów podbiegunowych tak, że przez cały miesiąc nie było od niego żadnych wiadomości. Udało mu się jednak ujść szczęśliwie śmierci wraz z towarzyszami. W rok potem zamierzał ponownie, tym razem w towarzystwie generała Nobile, dotrzeć przy pomocy sterowca „Norge“ do bieguna, aby stamtąd polecieć na Alaskę. Uprzedził go jednak w dniu 9 maja 1926 r. lotnik Byrd, który przeleciał ponad biegunem północnym na dwa dni przed odlotem „Norge“. W kwietniu b. r. jako przedostatni w tym szeregu lotników arktycznych podjął Amerykanin Wilkins lot z Alaski ponad biegunem północnym w kierunku Spitzbergu.

Odbyło się też wiele wypraw drogą lądową przy użyciu zwierząt, które jednak na dotarcie do samego bieguna nie pozwalały. W roku 1909 powrócił z wyprawy do bieguna południowego Anglik Shakleton.



Do podróży swojej użył sani poruszanych zapomocą motoru. Pod przednimi kołami były umieszczone sanice, tylne zaś musiały obracać się wśród śniegu. Do samochodu, w którym siedział Shakleton, było przymocowanych szereg sań z żywnością.

Co droższe, usta czy czoło? Młoda Amerykanka, bawiąca w Londynie, uległa bardzo przykremu wypadkowi automobilowemu, który skończył się dla jej urody dość niefortunnie. Oto odłamek szyby przeciął jej górną wargę, zeszpecając szkaradnie piękną buzię miss Albornow. Amerykanka oczywiście wniosła skargę do sądu o odszkodowanie, domagając się od właściciela samochodu, który spowodował wypadek, dużego wynagrodzenia za „utraconą urodę“. Ale jednocześnie od tegoż wypadku ucierpiał i szofer, któremu odłamek szyby zadał głęboką ranę czoła, powodując bardzo znaczną bliznę na czole. Ten również domagał się odszkodowania. Sądy londyńskie miały dość trudny problemat do rozwiązania: co jest droższe, usta kobiety, czy czoło mężczyzny. Widocznie sędziowie zbyt dobrze znali czar kobiecych ust, skoro Amerykance przyznano trzy razy większe odszkodowanie, aniżeli owemu młodzieńcowi z blizną na czole. I jest tu sprawiedliwość?!

RZECZY CIEKAWE.

Mleko bez krów.

Sensacyjną wiadomość podał w Londynie w „Stowarzyszeniu inspektorów sanitarnych“ niejaki p. Eston. Anglik ten oznajmił mianowicie, iż robi różne eksperymenty, które mają w przyszłości zapewnić ludziom produkcję mleka syntetycznego.

Zdaniem p. Estona eksperymenty te będą niebawem uwieńczone pomyślnym skutkiem. Będzie można wydobywać mleko bezpośrednio z trawy, zupełnie bez współudziału krów. Tym sposobem to poczciwe zwierzę, tak ogromnie cenne dotąd i niezastąpione w gospodarstwie domowem, stałoby się w przyszłości zupełnie niepotrzebnem.

Wiadomość ta brzmi więcej niż nieprawdopodobnie. A jednak... w ostatnich czasach tyle rzeczy, uważanych przez wieki za niemożliwe, stało się rzeczywistością, że tuż, tuż, a skłonni będziemy wierzyć w mleko uzyskiwane nie „prosto od krowy“, lecz... „prosto od trawy“.

Biedne krowy: co się z wami wówczas stanie? Jedyną pociechą może być dla was fakt, iż pozbawione swego dotychczasowego władztwa, podzielicie los tylu... zdetronizowanych po wojnie monarchów i monarchiń!

Ile jest kin na świecie.

Wedle urzędowej statystyki amerykańskiej, liczba kinoteatrów świetlnych na całym świecie wynosi około 51 tysięcy. Z tego na Europę przypada 21 tys., na Stany Zjednoczone 20 tys. Dalej idzie w znacznej odległości Ameryka południowa. Azja wschodnia, Afryka i t. d. Na czele krajów europejskich stoją Niemcy z 4.293 kinematografami, Anglja z 3.760, Francja z blisko 3.300, Włochy z 2.000, Hiszpanja z 1.500 i Szwecja z 1.000 kinematografów. W innych państwach europejskich jest mniej niż 1.000 kinematografów.

Wojna szczurom!

Tępieniem szczurów zajmowano się już od wieków całych — był to nawet specjalny zawód, którego przedstawiciele, jako należący do popularnych typów ludowych, uwiecznieni zostali przez niejednego wybitnego artystę. Urządzono formalne obławy na tych szkodników, szczuto je odpowiednio tresowanymi psami, zastawiano na nie doskonale skonstruowane pułapki, podrzucano im na przynętę smakołyki, posypane strychniną, etc. Były to wszakże metody niszczenia indywidualnego, najzupełniej już nie wystarczające, wobec przeraźliwego rozpleniania się szczurów. Koniecznem okazało się masowe uśmiercanie ich, i w tym zakresie niezmiernie cenne zasługi położył słynny uczony polski, niedawno zgasły profesor Instytutu Pasteura, ś. p. Danysz, który wynalazł szczepionkę, a nieszkodliwą absolutnie dla ludzi. Od czasu wojny ostatniej szerokie zastosowanie w walce ze szczurami znajdują również i gazy trujące, choć wymagają one zachowania wielkich środków ostrożności, mogą bowiem przyczynić wiele zła i ludności. W każdym razie należy spodziewać się, że prace kongresu międzynarodowego, który zbiera się w Paryżu dla omówienia środków walki ze szczurami dadzą konkretne wyniki i stanowić będą ważny krok naprzód w dziedzinie wojny, ogłoszonej szczurom.

Pojedynek zwierząt.

Podczas, gdy w Europie nazwa Mangust brzmi obco, w krainie dżungli Indjach, zna ją każde

dziecko. Jest to najzacietszy nieprzyjaciel wężów. Wyglądem przypominając łasicę lub wydrę, długość ma zaledwie 65 centymetrów. W wielu okolicach Indyj, gdzie corocznie tysiące krajowców pada ofiarą ukąszenia jadowitych płazów, — spełnia mangut rolę mściciela człowieka.

Zwierzątko to zabija węże więcej z ochoty do walki niż z głodu i rzadko się zdarza, by stanowić one musiały dla niej pokarm. Polowanie na gady jest dlań jakby odwiecznem prawem, nadanem przez naturę. Uśmierca on setki swych wrogów. Gdy jej okrzyk niejako bojowy — jakim jest krótki charakterystyczny świst — rozlegnie się w dżungli, wszystkie płazy chyłkiem pomykają do swych nor. Jest już wówczas jednak zapóźno, gdyż mangut świszcze już atakując. Walka zazwyczaj jest z góry przesądzona, gdyż nawet wielki wąż z trudnością sprosta temu małemu o szarej sierści zwierzątku.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **E. Kłonicki** w Z.: Wierszyki zupełnie dobre. — **H. B. G...cki.**: Z prozy skorzystamy, wiersz słaby. — **Piotr Wenc** w Ś.: Otrzymaliśmy — pójdą. — **Piotr Leśniak** w M.: Wierszyki dobre, ale mamy tak dużo wierszy, iż trudno nam oznaczyć, kiedy będą drukowane. — **Jan Styś** w L.: W numerze 27 „Roli" zaczniemy druk powieści oryginalnie dla nas napisanej Donata Lesiowskiego p. t. „Szlakiem idei". Po ukończeniu „Getsemane" zamieścimy utwór Franciszka Lewandowskiego p. t. „Zurzenie Jerozolimy". Wkrótce też rozpoczniemy druk nadzwyczaj ciekawej powieści p. t. „Ślepa niewolnica". — **Stanisław Chromik** w W.: Adres następujący: Ks. K. Wójcik Miętustwo, poczta Czarny Dunajec. — **Wojciech Byczek** w K.: Niema złego, coby na dobre nie wyszło, choć narazie nie Panu, to z czasem może się zmienić. Lepsza byłaby powieść, bo na poezje to nie wiele amatorów i sami powieść zakupiliśmy na nagrody czy to konkursowe, czy za zagadki. Ciekawe to jest naprawdę, że co który literat ludowy wyda, to poezje. Niech Pan będzie dobrej myśli. Cześć!

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 25 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

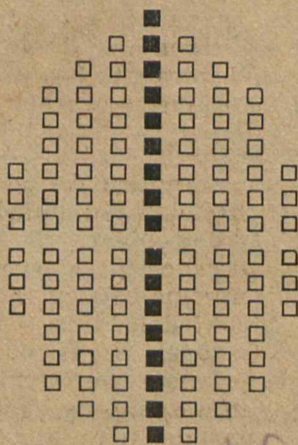
Buhaje .	od 1·18 do 1·90 zł.	Jałownik	od 1·36 do 1·87 zł.
Woły . .	od 1·30 do 2·10 zł.	Cielęta .	od 1·33 do 2·08 zł.
Krowy .	od 0·82 do 1·92 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·10 do 2·35 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·20 do 3·10



Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W.).



1. Spółgłoska. 2. Opłata graniczna. 3. Stolica państwa europejsk 4. „Wyprowadzam" w języku obc. 5. Niemiły inaczej. 6. Zwierzę górskie. 7. Ptak. 8. Imię żeńskie. 9. Uparty inaczej. 10. Wąwóz. 11. Pisarz polski. 12. Ptak. 13. Proszek do prania. 14. Przyrząd techniczny. 15. Urzędnik skarbowy. 16. Imię męskie. 17. Schronisko owad. l. mnoga. 18. Samogłoska.

Litery zamiast krzyżyków czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko (pseudonimowe) poety polskiego.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Jan Patulski).

Pierwsza druga rzeka,
cudza i daleka.
Druga trzecia daje plony,
gdy urodzaj zapewniony.
Trzecia czwarta męskie imię,
miał go nawet papież w Rzymie.
Wszystko to jest prawda szczera,
Całość imię bohatera.

II.

(Ułożył H. Liebeskind z K.).

Pierwsze drugie kanonada,
Pierwsze wspak, to drzew gromada.
Drugie pierwsze był to dawny,
Obcych państw podwładny.
Trzecie, droga kolejowa,
Całość, dzielnica Krakowa.

III.

(Ułożyła Marylka Kalafarska z K.).

Pierwsza przeczy, druga przyimek,
Trzecia, czwarta płyną,
A w całości bardzo często, zdrowie
I majątki giną.

IV.

Wychodząc rzekłem do lokaja: „Musisz, czwarte, zamknąć drzwi do kuchni, żeby druga trzecia nie szła do pokoju, bo nasza pierwsza trzecia tego nie lubi. Nie zapomnij również zanieść tam, gdzie ci mówiłem, trzeciej czwartej za całość". Nakoniec rzekłem dzieciom drugie i poszedłem do biura.

3. Układanki.

(Ułożył Józef Kubik z K.).

Zaimek os. l. mn. + lasy = Okres wyborczy.

Instrument muzyczny + imię żydowskie = Osoba z »Roli«.

Część drzewa + zgłoska + wyrażenie żyd. = Góry w Karpatach.

Cyfra + ruch człowieka = Rzeka na Wołyniu.

Spółgłoska + miara powierzchni + zgłoska + czasownik os. w ob. języku = Rodzaj broni.

Część wozu + zaimek l. mn. + zaimek l. p. = Miasto w Małopolsce.

Rzeka w Europie + samogłoska + spółgłoska = Rzeka w Polsce.

Przyrząd kowalski + zaimek wskazujący = Miasto w Polsce.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 17 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 22 „Roli": 1. Logogryf: Jan Matejko. 2. Szarady: I. Bronowanie. II. Albanja. III. Brylantyna. IV. Damaszek. 3. Zagadki: Arak, bórg, port. 4. Przestawianki: I. Za co człowiek na bliźnich tak często uderza, jak na dzikie zwierzęta? Bo w sobie ma zwierza. II. Wierzysz, że się Bóg urodził w Betlejemskim żłobie, lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie. 5. Bilety wizytowe: Generał, pułkownik, kapitan, porucznik, kapral.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: J. Zającżkowski z S., Saul Wachtel z T., Piotr Wenc z Ś., Henryk Biłka-Głębicki z S., Wł. Szwabowicz z K., Marja Krawczykówna z K., Józef Niegłos z K. i J. Kapuściński z L.

Nagrody wylosowali pp.: Piotr Wenc z Ś. i Józef Niegłos z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.



D. O. M.

Tu spoczywa w Bogu N. N.
Żył lat 29 jako człowiek i lat 3 jako małżonek.



Żałuje.

— Wujaszku! mamcia powiedziała wczoraj, że wujaszek jest wielki osioł.

— Fe, wstydź się rozsiewać plotki! Powiedz zaraz, że żałujesz tego.

O, tak, ja bardzo żałuję, że wujaszek jest wielki osioł...



Dobry interes dla ojca.

— Córka moja otrzyma w posagu: gotówką trzysta tysięcy, kamienicę i przecudny samochód.

— To wie pan co, panie przyszły teściu, zrobimy taki interes. Gotówkę i kamienicę mi pan da, ja panu oddam córkę pańską, a pan za to zatrzyma sobie samochód.

Wymowne.

W mało znanej okolicy Karpat, leży ogromny kamień z napisem:



Rozmowa małżeńska.

— Największe osły mają zawsze najładniejsze żony.

— Pochlepca z ciebie, mężusiu.



Pech.

— Trzeba mieć djabelnego pecha: pierwszy raz zostałem skazany na rok aresztu i to akurat w roku przestępnym.



Liczba pojedyńcza.

Ona: — Jakimi jesteśmy osłami!

On: — Proszę cię, mów w liczbie pojedyńczej!

— O, jakim ty jesteś osłem!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 29 maja b. r.

Pszenica .	56·00—56·50	Słoma długa	13·00—14·00
Żyto .	54·00—55·00	Ziemniaki stoł.	8·00—9·00
Owies . .	47·00—48·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	46·00—47·00	sienn. czer.	310·00—315·00
Łubin żóły	28·00—29·00	Otręby żytnie	33·50—34·00
Fasola biała	58·00 - 62·00	Mąka żytnia	77·00—78·00
Groch zwyk.	59·00 63·00	Mąka pszen.	88·00—89·00
Siano słodk.	25·00 - 28·00	Otręby pszen.	32·00—33·50
Koniczpastew	35·00—38·00	Mąka czerw.	37·00—38·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.



Aleksander Wnękowski

Introligatornia

Kraków, ul. św. Sebastjana L. 11.
oprawia książki pojedynczo i w większych nakładach, wykonuje starannie, po cenach niskich.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Sprzedaż częściowa i hurtowna.
Cenniki na żądanie.
Uwaga na dokładny adres.

Prosimy o wyraźne pisanie adresów i podawanie także ostatniej poczty.

Najładniejsze i najciekawsze

Bajeczki i wierszyki dla dzieci

z pięknemi kolorowemi obrazkami.

1) **My się chcemy bawić!** wierszyki i powiastki dla grzecznych dzieci.
2) **Historyjki o Kizi mizi** i innych ulubionych zwierzątkach.
3) **Świat Lalek** najpiękniejszy upominek dla grzecznych chłopczyków i dobrych dziewcząt.
4) **Jak tu wesoło** skarb powiastek i bajeczek dla najgrzeczniejszych dziateczek.
5) **Mali majstrowie** skarb wierszyków i bajeczek.
6) **Ostrożnie!... Bo strzelam!...** najpiękniejsze bajeczki i wierszyki dla dobrych dzieci.

Cena każdej książeczki wykonanej w kolorach na dobrym grubym papierze wysyła za nadesłaniem Zł. 1.20, wszystkie 6 książeczek razem za Zł. 6.—.
Wydawnictwo „SENSACJA", Kraków, Zielona 7. I. p.



Instrumenta MUZYCZNE

dęte i smyczkowe oraz części zapasowe do tychże. – Stare instrumenta naprawia, zestraja lub wymienia na nowe

J. A. NIKIEL

Kraków, Szewska 2.

Wszelkiej porady przy zakładaniu i kompletowaniu zespołów orkiestralnych udziela **bezpłatnie**, za nadesłaniem znaczka pocztowego.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie,
Pisz wyraźnie i powoli,
Ześ to czytał w naszej Roli.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Książki do nabożeństwa

Zbiorek Modlitw, Książka do nabożeństwa dla czcicieli Serca P. Jezusa, stron 512, oprawne 3 łz. 70 gr.
Przyjdź Królestwo Twoje, Książeczka do nabożeństwa dla młodzieży, stron 320. Oprawne w płótno 1·80 zł.
Do nabycia w Administracji „Roli".

Wapienniki i Kamieniołomy Pychowickie

Ska z ogr. odp. w Krakowie

Biuro: ul. św. Krzyża 16 — telefon 4491. Zakłady: Pychowice — telefon 4753.
Rach. bież.: Bank Zw. Spółek Zarobk., oddział w Krakowie. Konto PKO. Kraków 400.412

polecają swe najwydatniejsze, śnieżno-białe, tłuste wapno dla celów budowlanych, nawozowych i chemicznych. Dostarczają wagonami i galarami swój doborowy kamień i szuter wapienny, twardy, dający się polerować, wyborny dla celów budowlanych i chemicznych, dla cukrowni, hut, fabryk nawoz. sztuczn. i do budowy dróg.